

Na marne



HENRYK SIENKIEWICZ

Na marne

I

— Otóż i Kijów!

Tak mówił do siebie młody człowiek, nazwiskiem Józef Szwarc, wjeżdżając do starożytnego miasta, gdy rozbudzony formalnościami rogatkowymi, ujrzał się niespodzianie wśród ulic i zabudowań miejskich.

Serce zadrgało mu radośnie: był młody, darł się do życia, więc też wciągał w szerokie płuca, ile mógł, świeżego powietrza i z wesołym uśmiechem powtórzył:

— Otóż i Kijów!

Buda żydowska toczyła się z wolna, podskakując na wystających kamieniach. Szwarcowi sprzykrzyło się siedzieć w niej pod przykryciem z płótna, kazał tedy żydowi skierować do najbliższego zajazdu, a sam szedł obok piechotą.

Potoki ludzi, jak zwykle w mieście, płynęły w rozmaite strony, sklepy błyszcząły wystawą, powozy mijaly się jedne z drugimi, kupcy, generałowie, żołnierze, żebracy, mnisi, snuli się przed oczyma Szwarca. Dzień był handlowy, miasto więc przybrało typowy widok tego rodzaju zbiorowisk. Tu nic nie było na darmo: żaden ruch, żadne słowo nie zdawało się być zmarnowane. Kupiec za handlem, urzędnik za urzędem, złodziej za oszustwem — wszystko gonilo przed siebie z jakimś wyraźnym celem, wszystko pchało przed siebie życie, myśląc o jutrze, dążąc do czegoś... a ponad tym gwarem i ruchem unosiła się atmosfera gorąca i słońce zarówno odbijało się w błyszczących szybach gmachów, jak w pierwszym lepszym okienku.

— A to zawierucha! — myślał Szwarc, który nie był nigdy w Kijowie, ani w żadnym większym mieście. — To życie!

I zadumał się nad szaloną różnicą między ciasnym życiem w małym miasteczku, a szeroką sceną działania w wielkim, gdy w tym z zadumy wyrwał go znany dobrze głos:

— Dalibóg Józef!

Szwarc obejrzał się, popatrzał kilka chwil na człowieka, który go nazwał po imieniu, wreszcie roztworzył szeroko ręce i zawołał:

— Dalibóg Gustaw!

Gustaw był to mały i chudy mężczyzna, lat około dwudziestu trzech; długie włosy, kasztanowatego koloru, spadały mu prawie do ramion, krótkie rude wąsy, obcięte równo z ustami, czyniły go na pozór starszym, niż był w istocie.

— Cóż porabiasz, Józiu? Dlaczegoś przyjechał? Do uniwersytetu? Nieprawdaż?

— Tak.

— Dobrze robisz. Nędzne bo to życie bez nauki — mówił, sapiąc Gustaw. — Na jakież fakultet myślisz chodzić, hę?

— Nie wiem jeszcze, zobaczę — wybiorę.

— Namyśl się dobrze. Ja tu już rok jestem, to się mogłem rozpatrzeć. Wielu żałuje zawczesnego wyboru, ale cóż robić potem? Wracać się za późno, iść naprzód nie ma sił. Łatwiej zrobić głupstwo, niż je naprawić. Jutro zaprowadzę cię do uniwersytetu; tymczasem, jeśli nie masz mieszkania, każ znieść rzeczy do mnie. Mieszkam niedaleko. Możesz ode mnie zacząć; jak ci się naprzykrze, poszukasz sobie innego kolegi.

Szwarc przyjął propozycję Gustawa i za chwil kilka byli już w małej studenckiej izdebce.

— Hę, dawnośmy się nie widzieli; rok jak skończyliśmy szkoły — mówił Gustaw, ustawiając kuferek i zawiniątko Szwarca. — Rok, kawał czasu. Cóżeś robił przez ten cały rok?

— Siedziałem u ojca, który mi nie pozwalał iść do uniwersytetu.

— A cóż mu to szkodziło?

— Człowiek był dobry, ale prosty — kowal.

— A cóż teraz pozwolił?

— Umarł.

— Dobrze zrobił — mówił, kaszląc Gustaw. — Przekłeta astma! dręczy mnie od pół roku. Dziwisz się, że sapię?... Będziesz i ty sapał, gdy posiedzisz nad książkami tak, jak ja. Z dnia na dzień, ani chwili spoczynku. A i z biedą gryź się, jak pies z psem... Pieniądze masz?

— Mam, sprzedałem domostwo po ojcu: mam dwa tysiące rubli.

— Setnie!... To ci wystarczy. Mnie bieda! przekłeta astma!... Oj, tak! Trzeba się uczyć! Zaledwie wieczorem trochę odetchnienia; dzień na prelekcjach, noc na robocie... Ani się przespać! To u nas! Jak wejdziesz w nasze życie, zobaczysz, co to uniwersytet! Dziś cię zaprowadzę do klubu, albo po prostu — knajpy, trzeba się zapoznać z kolegami: dziś zaraz pójdziesz tam ze mną.

Gustaw bez przerwy kręcił się po pokoju, sapiąc i pokaszlując. Patrząc na jego zgarbione plecy, zapadłą twarz i długie włosy, można by go wziąć za człowieka zmęczonego wesołym życiem, nie pracą; ale stopy książek i zapisanych papierów, ubóstwo w urządzeniu izby, aż nadto świadczyły, że gospodarz należał do owego rodzaju nocnych ptaków, co więdną zgarbieni nad książką i umierają z myślą o kreskowaniu lub niekreskowaniu jakiejś litery.

Szwarc jednak oddychał pełną piersią atmosferą izdebki; był to dla niego świat nowy i odrębny zarazem. Kto wie — dumał — jakie myśli tryskają z tych głów, mieszkających na czwartych piętrach? kto wie, jaką przyszłość gotują nauce takie poddasza?

— Poznasz dziś jeszcze wielu z naszych — mówił Gustaw, wyciągając spod łóżka samowar o jednej nodze i podstawiając pod niego dla równowagi stłuczony garnek. — Niech cię nie zraża ten wieczór — ciągnął, sypiąc węgle do samowara — zrobię herbaty... niech cię nie rażą te szalone po części głowy. Jak się rozejrzysz w mieście, poznasz, że i tu głupców nie brak, ale są i tęgie głowy. Zresztą, zobaczysz. Życie to nasze trochę sztuczne, trochę szalone, ale idzie naprzód niemałym krokiem. Oryginałów nie brak, chociaż i bezbarwności pełno czczej, śmiesznej i najgłupszej ze wszystkich głupot. W jednych głowach się pali, a w drugich ciemno — ot, jak teraz na dworze.

Przez chwilę cisza panowała w izbie, słychać tylko było sapanie i dmuchanie w samowar Gustawa. Rzeczywiście, wieczór powoli zapadał, na ściany i podłogę izby padał mrok coraz większy; ogniste kółko, odbite z samowara na podłodze, zwiększało się lub gasło w miarę, jak Gustaw dmuchał, wreszcie woda zaczęła szumieć, sykać i pryskać, Gustaw zapalił świecę.

— Masz tu herbatę. Pójdę na lekcję — mówił dalej — ty poczekaj tu na mnie, najlepiej prześpij się na moim łóżku. Jak wydasz pieniądze, musisz i ty postarać się o lekcje. Nudna to rzecz, ale cóż robić? Jest przy tym przykra strona życia studenckiego, ale co tam ci naprzód mówić! Nasz świat i reszta świata, to rzecz zupełnie odrębna. Ani nas tu lubią, ani przyjmują i klócimy się ze wszystkimi, nawet ze sobą... Trudne życie! Jak zachorujesz, jeśli nie kolega, nikt ręki nie poda — to los nas ubogich. Ba, zresztą gniewa ludzi, że my komedii nie gramy, że nazywamy rzeczy po prostu.

— Czarno rzeczy widzisz — zauważył Szwarc.

— Czarno czy nie czarno — odrzekł z goryczą Gustaw — zobaczysz. A ja ci powiadam, że nie na różach będziesz sypiał... Młodość ma swoje prawa, swoje wymagania. Z tych praw i z tych wymagań w oczy ci się rozśmieją, powiedzą, żeś niedowarzony, nazwą egzaltacją. A tobie diabli do tego, jak się to nazywa, kiedy cię to pali lub boli... Zresztą, zobaczysz... Nalej sobie herbaty i połóż się spać — za godzinę wrócę, a teraz daj mi tam czapkę i bywaj zdrów.

Przez chwilę słychać było jeszcze sapanie i kroki Gustawa na schodach. Szwarc został sam.

Słowa Gustawa dziwne na nim zrobiły wrażenie. Szwarz pamiętał go innym: dziś w głosie jego brzmiała jakaś zrzędnosc i zniechęcenie, jakiś ponury nastrój umysłu przebijal się przez te słowa na wpół porwane, na wpół smutne. Dawniej był zdrow na umyśle i ciele, dziś oddychał z trudnością, w mowie i ruchach jego była dziwna gorączkowość, jak u człowieka, który się wyczerpał.

— Czy go tak już zmęczyło życie? — myślał Szwarz. — Więc to tu trzeba walczyć, trzeba iść przeciw prądowi trochę, a ten biedak widać sił nie miał. Tu trzeba zwyciężyć! Widać, świat nie nazbyt lekką dłonią spoczywa na nas. Do licha, to tu nie łatwa sprawa... Gustaw coś bardzo mizantrop, musiał nieźle osmalić piórka. Ależ on tu nie próżnuje, więc jeszcze idzie naprzód. Może to tylko skorupa ta mizantropia, pod którą wygodniej i bezpieczniej?... Ale jeśli rzeczywiście trzeba iść na przebój lub zginąć? ha!... to pójdę! — zawołał z mocą młody człowiek, lubo w tym wykrzykniku więcej było stanowczości, niż zapалу.

W godzinę po owym monologu sapanie znowu dało się słyszeć na schodach i w tej chwili wszedł, a raczej wsunął się Gustaw.

— No, dalej za mną! — zawołał. Stoisz w przedsionku wiru studenckiego życia; dziś zobaczysz jego stronę weselszą. A nie trać czasu!

Mówiąc to, kręcił czapkę w rękę i rzucał oczyma na wszystkie strony, potem przysunął się do stolika i, wydobywszy z niego grzebień, począł czesać swe długie, płowego, a raczej wypłowiałego koloru włosy.

Wreszcie wyszli na ulicę.

W Kijowie naówczas były knajpy, gdzie zbierali się studenci. Okoliczności istniały takie, że nie można było żyć z całym miejscowym towarzystwem. Już to tam owe różne koterie miejskie niechętnie u siebie widziały młodzież, którą dopiero przyszłość miała wyrobić na ludzi. Z jednej strony brak statku, gwałtowność słowa, buta i inne przyrodzone zwykle młodości cechy, nie bardzo chciały się giąć do form towarzyskich; z drugiej, prowincja dostarczała swojskiego żywiołu tylko w czasie zimy lub kontraktów; — jakoś więc uniwersytet zawiązał się w ciało zamknięte w sobie, żyjące życiem książkowym w dzień, klubowym w nocy. Z wielu nawet powodów było to więcej dobrze, niż źle, bo jakkolwiek młodzież wychodziła nieotarta w świecie, za to żartka i do czynów pochopna; ludzi znudzonych i przeżytych między nimi, tak jakby, nie bywało.

Nasi znajomi przeszli szybko środek ulicy, kierując się ku oświetlonym oknom klubowego domu. Popod światło księżycowe można było odróżnić szeroką i silną postać Szwarca, obok zgarbionych pleców i wielkiej głowy Gustawa. Ten ostatni biegł nieco naprzód, rozmawiając z Józefem lub z sobą na przemiany; następnie zatrzymał się pod oknem, a ujawszy się za gzymsy i podciągnawszy w górę, jął pilnie rozpatrywać wnętrza kawiarni; wreszcie spuścił się na dół i, otarłszy kolana z wapna, zawołał:

— Nie ma.

— Kogo?

— Albo już była, albo wcale nie przyjdzie.

— Kto taki?

— Która godzina?

— Po 10-ej. Kogo upatrywałeś przez okno?

— Wdowy.

— Wdowy? któż to jest?

— Boję się, czy nie chora.

— Znajoma twoja?

— Oczywiście. Gdybym jej nie znał, tobym się nią nie zajmował.

— No, to jasne — odpowiedział Szwarz; chodźmy.

Przycisnął klamkę drzwi: weszli.

Gorąca a dymna atmosfera owiała ich. W perspektywie wnętrza sali widniały różne go wieku twarze, po części obce dla Szwarca. Między kłębami dymu, zaciemniającymi światło kinkietów i wybuchami śmiechu, błąkały się tony fortepianu, jakby zmęczone a niedbałe; wtórowała im gitara, na której od czasu do czasu brzdąkał wysoki, chudy młodzieniec, z przyciętymi przy samej skórze włosami i szramą na twarzy. Długimi palcami bałamucił po strunach, a wielkie niebieskie oczy utopił w pułap, utonawszy w zamysleniu. Ten, który siedział przy fortepianie, ledwo wyszedł z dzieciństwa; cerę miał

mleczną, włosy ciemne, zgarnięte ku tyłowi głowy, słodycz w czerwonych ustach, a smutek w oczach; był delikatny i wątłej budowy ciała a urodziwy. Widać, grał tu od dawna, bo już czerwone plamy na obu policzkach zwiastowały w nim wielkie zmęczenie. Tyłem do światła stało kilku Pińczuków, a wszystko chłopcy jak dęby, a tak przy tym chciwe na wszelką gęźbę, że byle zagrano w klubie, obstępowali wkoło grającego i ze zwieszonymi głowami słuchali muzyki, wdychając lub radując się z nią razem. Inna młodzież siedziała na ławkach lub krzesłach; kilka młodych dziewcząt z rodzaju koników polnych, prześpiewujących lato, kręciło się tu i owdzie. Było gwarно; gdzieniegdzie brzękły kufle. W alkierzu obok sali grano zapamiętałe w karty, a przez na wpół przytwarne drzwi widać było twarz jednego z grających: zapalał w tej chwili cygaro od stojącej na rogu stołu świecy, a przytłumiony lub wznoszący się chwilowo płomień oblewał od czasu do czasu ostre jego rysy. Bufetowa z doskonałą obojętnością przypatrywała się pod światło końcowi pióra, którym zapisywała dzienne wydatki; obok na stolku drzemała z cudowną równowagą jej pomocnica, a kot, siedzący na rogu stołu, otwierał czasami oczy i zamykał je z wyrazem godności i filozoficznego spokoju.

Szwarc obrzucił wzrokiem zgromadzenie.

— Ho! jak się masz Szwarc? — odezwało się kilka głosów.

— Dobrze. Jak się wy macie.

— Do nas na stałe?

— Na stałe.

— Przedstawiam go jako członka szanownego zgromadzenia klubowego. Ty zaś, wiedz raz na zawsze obowiązki: przychodzić tu codziennie; przywileje: nie wysypiać się nigdy po ludzku — chrupał Gustaw.

— Jako członka? tym lepiej! Zaraz tu usłyszysz mowę... Hej tam, Augustynowicz, zaczynaj!

Z drugiego pokoju, w którym grali w karty, wyszedł młody człowiek o przygarbionych plecach i prawie tysej głowie. Wyglądał szpetnie, rzucił czapkę na stół i, siadłszy na krześle, tak mówić zaczął:

„Panowie! Jeżeli nie będziecie cicho, zacznę mówić uczenie, a wiem, moi drodzy, że nie ma nic dla was równie obmierzłego, jak wszelka uczoneść. Wreszcie, na Jowisza! przyzwyczajacie się do życia parlamentarnego. Co to jest? Słyszę hałas? Cicho mi, cicho! Zaczynam mówić uczenie!”

Jakoż, pod wpływem groźby, chwilę zapanowała cisza; mówca spogląda tryumfalnie i mówi:

„Panowie! Jeśli zebraliśmy się tutaj, to nie na to, aby w samym tylko spoczynku szukać wspomnienia chwil przykrych (bardzo dobrze!). Powie mi ktoś, że zbieramy się tu co dzień (bardzo dobrze!). Wszak ja tu co dzień przychodzę i wcale tego zaprzeczać nie myślę — nie zaprzeczycie także, że dziś jestem! (oklaski; mówca promienieje i mówi dalej): Cicho! Jeślibym miał sądzić, że wszelkie moje usiłowania w celu nadania celowości naszym zebraniom, odbite od lekkomyślności ogólnej, bo mogę ją nazwać ogólną (można! można!), niekierowane prądem zgody powszechnej, rozdrabniając w samym nawet zbiorze (uważcie panowie: w zbiorze) jednolite usiłowania pojedynczych, jeżeli dążności, oznamionowane prawidłowym celem zjednoczenia luźnych myśli w jakąś organiczną całość, nie zejdu nigdy z pola marzeń na realniejsze pole działania, tedy ja pierwszy, panowie, a ręczę, że i wielu innych ze mną zgodzi się na zaprzeczenie sensu dotychczasowemu sposobowi naszego bytu, (oklaski!) i przedsięwzięmie inne środki (tak! tak!), obowiązujące, jeżeli już nie wszystkich, to wybranych” (oklaski).

— Co to znaczy? — spytał Szwarc.

Gustaw ruszył ramionami.

— Mowa.

— W jakim celu?

— Ale cóż to kogo obchodzi!

— Co to za jeden?

— Nazywa się Augustynowicz. To dobra głowa, ale w tej chwili jest pijany, słowa mu się płaczą: wie jednak, czego chce i dalibóg ma rację!

— Czegóż chce?

— Żebyśmy się tu daremnie nie schodzili, żeby zebrania nasze miały jakiś cel, ale śmieją się i z celu i z mowy. Zresztą, z konieczności pociągnęłoby to za sobą rozbrat ze swobodą i spoczynkiem, które dotychczas w tych zebraniach panowały.

— A jakież cel chce im nadać Augustynowicz?

— Literacki, naukowy.

— Dobrze by było.

— Powiedziałem, że ma rację i gdyby kto inny proponował, rzeczby może przeszła.

— No, a on?

— Na wszystkim, czego się dotknie, zostawia ślady własnej śmieszności i poniżenia. Strzeż się Szwarz! tyś wprawdzie w niczym, ile cię znam, do niego niepodobny, ale tu każdemu nie w ten, to w inny sposób noga może się pośliznąć...

Gustaw powiódł zamglonymi oczyma po Augustynowiczu, ruszył ramionami i mówił dalej:

— Dziwnie się los składał na tego człowieka. Mówiłem ci: to zbiór wszelkich zdolności a małego charakteru, wyniosłych chęci a nędznych czynów — wieczny rozbrat! Nie ma w nim żadnej równowagi między żądaniem a siłą, dlatego marnuje się.

Tymczasem zbliżyło się kilku znajomych Szwarca; przy kuflu pogawędka stała się ogólną. Szwarz wypytywał o uniwersytet.

— Żyjecie wszyscy razem?

— Niepodobna — odrzekł jeden z Litwinów. — Masz tu ludzi z najróżniejszymi pojęciami, stąd i różne koterie.

— To źle.

— Nieprawda! Przypuszczam jedność jakichś wyższych celów; jedność w pożyciu koleżeńskim jest niemożliwa, dlatego na nic się nie przyda starać się o nią.

— A niemieckie uniwersytety?

— I tam masz ferajny, żyjące tylko w sobie. Życie uczuć i myśli, przynajmniej u nas, winno być zgodne z praktycznym, dlatego różność pierwszego rodzi różność w drugim.

— Nigdy się więc nie łączycie?

— To znowu co innego. Łączymy się w interesie uniwersyteckim, lub obchodzącym wszystkich. Zresztą, myślę, że sprzeczności, jakie tu napotkasz, dowodzą naszej żywotności; to znak, że żyjemy, czujemy i myślimy. W tym nasza jedność, to, co nas rozdziela, łączy nas.

— Pod jaką tedy chorągwią wy stoicie?

— Pracy i biedy. My nie mamy swojego nazwiska. Chłopomani zwą nas piekarczykami.

— Co?

— A tak. Życie cię nauczy, co to jest. Każdy z nas stara się zamieszkać tam, gdzie piekarz, zaznajomić się z nim i wyrabiać sobie kredyt. To nasz sposób; zaufanie mamy. Większość z nas nie jada nic ciepłego, ale bułek na kredyt dostaniesz tak długo, jak zechcesz.

— To wesoło!

— A wesoło. Prócz naszej koterii, nie mającej węzłów zbyt ścisłych, masz tu chłopomanów; założył ich i sformował Antoniewicz, prowadzili czasowo Ryłski i Stępkowski, ale dziś to są już głupcy, którzy nie wiedzą, czego chcą; mówią po maorusku i piją prostą wódkę — oto wszystko.

— A więcej jakież są koterie?

— Jasno określonych nie ma więcej, ale są rozmaite odcienie. Jednych łączy wspólność idei naukowych, drugich wspólność towarzyskiego stanowiska. Masz tu demokratów, arystokratów, liberalnych, ultramontanów, wreszcie hultajów, kobieciarzy, próżniaków, jeżeli chcesz, i na koniec zagorzałych pracowników.

— Kto tu uchodzi za najtęższą głowę?

— Między studentami?

— Tak.

— Stosownie do fachu. Mówią niektórzy, że Augustynowicz umie wiele — ja dodam, że niedobrze. Ścisłą, jednolitą pracą i nauką odznacza się Gustaw.

— Aa!

— Tylko, że rozmaicie o nim mówią. Niektórzy go nie cierpią. Mieszkając z nim razem, ocenisz go najlepiej... Albo, na przykład, stosunek jego do wdowy? Ot, egzaltowana sztuka! inny nie tak by sobie postępował. Prawda, że z nią dziś niełatwo.

— Słyszałem mówiącego o niej Gustawa; powiedz-że mi raz przecie, co to za jedna?

— Jest to młoda osoba, znajoma nas wszystkich. Smutne przechodziła koleje. Kochała dawniej Potkańskiego, jurystę, a kochała go podobno szalenie. Ja tam już nie pamiętam tych czasów, Potkańskiego pamiętam jednak. Był to chłopiec zdolny, ogromnie bogaty i pracowity; był w swoim czasie bożyszczem kolegów. Jakim sposobem poznał wdowę, nie wiem, różnie mówiono; to tylko pewna, że kochali się do upadłego. Ona nie miała wówczas więcej nad osiemnaście lat. Na koniec, Potkański postanowił się z nią ożenić! Co wyrabiała jego rodzina, by temu przeszkodzić, trudno opisać, ale Potkański, energiczna sztuka, postawił na swoim i wziął z nią ślub, mimo wszelkich przeszkód. Żyli z sobą rok jeszcze. Raptem on zapadł na tyfus i umarł, pozostawiając ją tak, jak na bruku, bo majątek zabrała rodzina. Dziecię już żyjące, umarło także wkrótce, ona została sama i gdyby nie Gustaw, to — ot, zmarniałaby ze szczętem.

— Cóż Gustaw?

— Cudów dokazywał. Z nędznymi środkami pozywał Potkańskich — Bóg wie, czy byłby sprawę wygrał, bo to rodzina magnacka, tyle jednak zrobił, że, chcąc uniknąć skandalu, obowiązali się wypłacać wdowie jakąś szczupłą pensję do śmierci.

— Dzielnie się spisał.

— Ba, ba! Niech go, co za energia! A pamiętaj, że był wtedy pierwszy rok na uniwersytecie, bez znajomych, w obcym mieście, bez środków; ale to tak, mój kochany: bogaty może sobie radzić — biedny musi.

— Ale co miał dla niej za obowiązki?

— Był przyjacielem Potkańskiego, ale to jeszcze mało, kochał ją podobno, nim została jego żoną, trzymał się jednak z daleka, teraz już się z tym nie kryje.

— A ona?

— E! e! ona od czasu nieszczęść, jakie przeszła, wpadła w zupełne odrętwienie — po prostu zwariowała. Ani wie, co się z nią dzieje, obojętna na wszystko, zresztą, zobaczysz ją dziś pewno, bo codziennie tu przychodzi.

— I w jakim celu?

— Mówię, wariatka. Wieść chodzi, że pierwszy raz poznała Potkańskiego w knajpie, owóż teraz nie wierzy podobno, że umarł i chodzi po całym świecie, zwyczajnie, jak wariatka! Istotnie, gdyby zmartwychwstał, a nie poszedł prosto do niej, pewno bym go tu, nie gdzie indziej, znalazła. Ha! może przypominamy jej Potkańskiego; u nich wielu młodzieży bywało.

— Że to jej Gustaw pozwala tu przychodzić?...

— Potkański-by nigdy na to nie pozwolił... ale Gustaw, ten jej niczego nie wzbroni.

— Jakże ona go traktuje?

— Jak stół, jak stołek, talerz lub kłębek nici. Zdaje się go nie widzieć, ale i nie unika, zawsze obojętna, apatyczna. Musi go to gryźć, ale to jego rzecz... A! ot, masz ją! ta, co wchodzi na prawo.

Gdy wdowa weszła, uciszyło się cokolwiek, wejście tej tajemniczej postaci zawsze robiło wrażenie. Wzrostu więcej niż średniego, szczupła, twarz miała pociągłą, jasno-blond włosy i ciemne oczy; ramiona jej i piersi, jakkolwiek szczupłe, miały okrągłą pełność form dziewczycy, czoło zaledwie dostrzegalne, w tył posunięte, wznosiło się smutno, poważnie, jakby marmurowe. Oczy głęboko pod czołem osadzone, jakby w cieniu, obrysowane były z góry jednym delikatnym łukiem brwi. Dziwne były jej oczy: koloru stali, świeciły jak stal polerowana, ale było to prawdziwe światło. Było to światło i nic więcej; pod owym blaskiem brakło ciepła i głębokości myśli. Można by rzec o tych oczach: patrzą, ale nie widzą. Nie wytwarzały wyobrażenia przedmiotu, ale tylko odbijały go. Był w nich chłód nie do opisania; dodajmy, że powieki ich nie mrużyły się prawie nigdy, a źrenice posiadały jakoby pewny ruch, niby śledczy, badawczy, poszukujący, a jednak mechaniczny.

Reszta twarzy wdowy odpowiadała oczom, usta były zagięte nieco ku dołowi, posągowe, a pleć jednostajna, matowa, blada, nosiła cokolwiek śniadawy odcień. Nie była ani śliczna, ani ładna, była tylko dokładnie piękna. To było w niej dziwne, że z twarzy zdawała się być zamarłą, a w całej postaci było coś takiego, co ciągnęło ku sobie

niewypowiedzianie męską stroną ludzkiej natury. Stanowiło to jednak wdzięk. Była do najwyższego stopnia posągiem, ale i do najwyższego stopnia kobietą. Ciągnęła i odpychała. Gustaw to czuł najlepiej. Trudno to było pogodzić z ową chłodną martwością, dlatego wrażenie, jakie budziła, zdawało się jakby nie od niej, jakoby obce dla niej.

Był to niby kwiat uśpiony; boleść ją tak uśpiła. Rzeczywiście ciosy, jakie wytrzymała, były uderzeniem niby obucha w głowę. Pamiętajmy, że na drodze tej kobiety krótkie chwile szczęścia kończyły dwie trumny. Jako dziewica, umiała kochać, ten, którego kochała, nie żył, jako żona i matka, porodziła dziecię, dziecię umarło. To, co dawało prawo, co było powodem i skutkiem jej życia, zniknęło. Odtąd przestała żyć, istniała tylko. Wyobraźmy sobie roślinę, którą podcięto z góry i z dołu — to była ona. Odarta z przeszłości i przyszłości, z początku nosiła w sobie mętne pojęcie bezczelnej krzywdy, którą jej wyrządzono. W pierwszej chwili bólu rzuciła — trudno wiedzieć komu — to bezdenne, jak otchłań, pytanie: dlaczego się to stało? Odpowiedź nie przyszła ani z błękitów, ani z ziemi, ani z pól, ani z lasów; krzywda została krzywdą, słońce świeciło i ptaki śpiewały, jak dawniej. Potem to nieszczęsne serce ścisnęło się w sobie własnym bólem i zmartwiało. Odpowiedź nie przyszła, ale przyszedł obłęd, straciła wtedy wiarę w śmierć męża, sadziła, że, wziąwszy na ręce rozplakane dziecię, poszedł gdzieś, ale że wróci lada chwila. Tymczasem, zgoła niezdolna już do żadnej innej myśli, szukała go owym przykrym mechanicznym ruchem oczu. Chodziła do klubu, myśląc, że tam go znajdzie, gdzie go poznała. Na nieszczęście, nie umarła. Natychmiast znalazła się dzielna ręka, co ją usiłowała wyrwać z obłędu, i pierś, która chciała ją rozgrzać. Marne to było usiłowanie, ale przecież uratowało jej życie. Miłość Gustawa, oplotłszy ją, niby pajęczą nicią, ratunkiem i opieką, nie puszczała jej od ziemi. Jego głos wołał na nią: „zostań!” więc, choć nie było w niej nań echa, została jednak, ale bez świadomości o sobie, bierna, jakby rzecz, a nie istota ludzka.

Taką była wdowa.

Weszła do izby i jak kamienny posąg stanęła przy drzwiach w smętym majestacie. W klubie było dymno i parno; w powietrzu drgały jeszcze ostatnie dźwięki piosenki trochę rozpustnej i rubasznej zarazem, a na owym nieczystym tle zakwitła wdowa, jak wodny kwiat na mętnej fali. Uciszyło się. Szanowano ją tam — w jej obecności nawet Augustynowicz stawał się znośnym; niektórzy pamiętali Potkańskiego, inni schylali głowy przed jej nieszczęściem, byli i tacy, co czcili w niej piękność! Zebranie przybrało tedy przyzwoitszy pozór.

Gustaw podsunął przybyłej krzesło i, zdjęwszy z niej szal ciepły, odszedł w kącie do Szwarca, który zajęty i zdziwiony, zwracał na nią błyszczące oczy.

Gustaw począł rozmowę ze Szwarcem.

— To ona! — rzekł półgłosem.

— Rozumiem.

— Nie pokazuj jej się bardzo. Biedactwo! każda nowa twarz sprawia zawód, wciąż szuka męża.

— Dawno ją znasz?

— Drugi rok. Na ślubie Potkańskiego byłem świadkiem i drużbą (Gustaw uśmiechnął się gorzko). Po jego śmierci widuję ją co dzień.

— Mówił mi Wasilkiewicz, że dałeś jej pomoc i opiekę.

— Dałem, nie dałem; musiał się tym ktoś zająć, to ja się zająłem, ale taka też to i opieka. Rób, co chcesz, pracuj, lataj, zabiegaj — bieda i bieda! Ot, czasem rozpacz ogarnia.

— A rodzina?

— Jaka?

— Jego?

— Krzywdzą ją! — wołał gwałtownie Gustaw.

— Ale to bogaci ludzie podobno?

— Krzywdzą ją! Panki! nabożnisie! Jeszcześmy nie skończyli; długo popamiętają krzywdę tego gołębia. Słuchaj, Szwarz! żeby maleńkie dziecko z tego rodu prosiło mnie o kawałek chleba z głodu, tobym go wołał psu rzucić!

— Romanse!

— Szwarz, nie krzywdź mnie! Ja biedny człowiek słów nie marnuję; ale Potkański już w szpitalu, przed samą śmiercią oprzytomniał trochę i powiada: „Gustawie, zostawiam ci żonę, przyjmij ją.” Powiadam: „Biorę ją w opiekę.” On pyta: „Nie dasz jej głodu mrzeć?” Mówię: „Tak!” On znów: „Nie daj, pomścij, jakby ją kto chciał krzywdzić”. Ja na to: „Jak mi Bóg i życie miłe, pomścisz!” Potem zgasł jak gromnica — ot, masz wszystko!

— Nie wszystko! nie wszystko, bracie!

— Mówił ci i resztę Wasilkiewicz. To dobrze! Powtórzę ci toż samo: Nie mam nikogo na świecie: ani ojca, ani matki, sam bieduję z dnia na dzień, a z życiem wiąże mnie (pokazał oczyma wdowę) ta jedna.

A tu mało świadomy jeszcze Szwarz miał sposobność ocenić to, co jest namiętność, gdy wzbierze w młodej piersi i ognia do krwi doleje. Ów suchy i skurczony Gustaw zdawał się w tej chwili nabierać sił i życia, zdawał się wyższym i mężniejszym, wstrząsnął włosami jak lew grzywą, na twarz wystąpił rumieniec.

— No, panowie! — zabrał głos Wasilkiewicz — godzina późna, a nie wszystkich czeka sen po wyjściu stąd. Jeszcze jedna nasza piosneczka, a potem, kto woła, dobra noc!

Siedzący przy fortepianie, o dziewiczej twarzy, młodzieniec wziął kilka znanych akordów; wkrótce zabrzmiała, z początku na kilka, potem na cały chorał młodych głosów rozłamana, miła młodzieży piosenka: „*Gaudeamus*”.

Swarz zbliżył się więcej, niż inni, do fortepianu. Stał bokiem odwrócony do wdowy, pod światło, ale kinkiet, wiszący przy ścianie, obrzucał profil jego, jakby jedną ognistą linią. Za chwilę promienie oczu wdowy padły na ową linię, niespokojnie wiążąc ją z własnymi myślami; nagle podniosła się blada jak marmur, z gorączkowym światłem w oczach i, wyciągnąwszy ręce przed siebie, krzyknęła:

— Kazimierzu mój, znalazłam cię!

W głosie jej czuć było nadzieję, trwogę, radość i przebudzenie. Ucichło. Wszystkich oczy zwróciły się na Szwarca, i tych, którzy znali Potkańskiego, dreszcz przebiegł. W świetle i cieniu ta, wysoka, silna postać była jakby odbiciem postaci Potkańskiego.

— Nie spostrzegłem się — mruczał Gustaw, wracając o świecie do domu — hm! no, już jej przeszło, ale gorączka była!... Podobny jest w istocie... Niech to diabli porwą!... A dusi mnie dziś w piersiach przeklęcie.

II

Swarz długo się namyślał nad wyborem wydziału.

— Dałem sobie uczciwe słowo honoru, że się nie zmarnuję w życiu, dlatego myślę — mówił Wasilkiewiczowi.

A to już trzeba przyznać, że uniwersytet wabił go nie na żarty. Z różnych stron świata, jakby stada żurawi, ciągnęła tam młodzież. Jedni wchodzili, drudzy wychodzili czerpać w spragnione głowy. Zabiegali tam ludzie wedle nauki, jak pszczoły wedle miodu; kupili się, rozpraszali i tłumnie chodzili; czerpali z nauki, czerpali z siebie, czerpali z życia; oddawali ją i odbierali na powrót; zamykali ją lub rozrzucaли, szli naprzód, stawali, padali, zwyciężali i łamali się z nią; kąpiąc się w tym morzu, tonęli niektórzy, inni wypływali. Ruch, gwar — życie panowało niezmiernie. Uniwersytet był to niby wspólny matecznik, gdzie miały się zapładniać mózgi; coś na kształt wrzątku, kipiącego rozumem i młodością. Otwierał się co rok, wydając dojrzałe owoce, a przyjmując natomiast nowe szczepy. Ludzie rodzili się tam raz drugi. Pięknie było patrzeć, jak owa młodzież na kształt fali wodnych wylewała się stamtąd na świat corocznie, niosąc ciemnym światło, niby żywność glebie ludzkiej. Na takie to morze dostała się łódka życia Szwarca, gdzie miał zawinąć? Różne fakultety, niby porty, nęciły go. Gdzie się kierować? Długo namyślał się, wreszcie wpłynął.

Wybrał fakultet medyczny.

— Niech się co chce dzieje, muszę być i bogatym — powiedział, rozstrzygnąwszy kwestię wydziału.

A było tego wahania tyle dlatego, że Szwarca, jako otwartą głowę, niezmiernie obchodziły tajemnice nauki. Ciągnęła go i literatura i prawo, nauki przyrodnicze uważał za tryumf myśli ludzkiej. Co do tych nauk, opinię tę wyniósł jeszcze ze szkół. Był tam

młody nauczyciel chemii, wielki entuzjasta, ten wychodzącym ze szkół uczniom swoim powiedział pewnego razu, położywszy rękę na sercu:

— Wiercie mi, moi drodzy, że poza naukami przyrodniczymi istnieje tylko gadanina.

Wprawdzie i prefekt, kończąc rekolekcje, zapewniał, że tylko nauka kościelna prowadzi człowieka do szczęśliwości wiekuiestej, ale Szwarz, którego prefekt już wówczas nazywał „wszetecznym kaccerzem”, zrobił tak brzydki grymas, że z jednej strony wzbudził śmiech we wszystkich obecnych, z drugiej ściągnął słuszne po części gromy na swą głowę.

Wybrał tedy fakultet medyczny.

Zresztą podział nań w tym względzie Wasilkiewicz. Ten Wasilkiewicz, sam student, miał słusznie czy niesłusznie ogromny wpływ na młodzież. Zdarzyło się, że na pogawędce studenckiej jakiś gramatyk filolog z większą hipokryzją niżeli szczerością dowodził, że człowiek, który się odda nauce, powinien jej jednej poświęcić samego siebie, zapomnieć o świecie i szczęściu, a wcielić się w nią, być tylko jej wyrazem, zasadą, słowem. Więcej w tym dowodzenia było fałszywego zapachu i nadętości, niż prawdy.

— Mówiono — prawil mówca — że rybak islandzki zapatrzył się w blask zorzy północnej i nie bronil się prądom. Fale go niosły na głębie, a on z oczyma utkwionymi w zorzę stał cały czerwony w jej promieniach, aż wreszcie porwał go duch otchłani i zamknął pod szklaną falą, ale w oczach rybaka zostały odbite światła zorzy.

— Oto nauka, i życie! — mówił dalej — kto raz przed nią uchyli czoła, tego niech fale życia niosą, na jakie chcą, głębie, światło nam pozostanie.

Są zasady w świecie, których się nie uznaje, ale, by przeciw nim wystąpić, trzeba nie-małego zapasu odwagi. Owóz między młodzieżą jeden i drugi milczał, tylko Wasilkiewicz sapał gniewnie i podnosił się na krzesle, wreszcie zerwał się i zaczął mówić:

— Tfu na próżne słowa! Niech Niemiec z taką nauką się żeni, nie my. U mnie nauka dla ludzi, nie ludzie dla niej. Niech Niemiec zmienia się w pergamin. Głupi był twój rybak; żeby był wiosłem robił, zorzę-by widział i ryb dzieciom przywiózł. A to co znowu? Toż ludziska i cierpią i głodem a zimnem przymierają, a ty będziesz się odrywał od świata i ciężarem mu będziesz, nie pomocą?

— Oj Tetwin, Tetwin! (tak się nazywał poprzedni mówca) patrz na znaczenie, nie na dźwięk słów swoich. Głupstwo łączyć umiecie z rozumem! Dziś ci się zdaje, że się wyrzekniesz szczęścia dla kilku wypłowiałych kartek. Nieprawda! Jak przyjdzie chwila, a zaboli cię pierś serdecznie, to zatęsknisz pocziwie do szczęścia i do kochania. Ot, u mnie, na przykład, na Żmujdzi, w chacie para staruszków: ojciec i mać, jakby gołąbki białe, a jedno drugiemu prawi o mnie mizernym takie rzeczy, jakby o królewiczu złotym. Cóż bym ja był wart, gdybym, zamknąwszy się w książce, nie pomyślał o nich, a opuścił na stare lata? Pekby na mnie! Ot, przyszedłem tutaj i u nauki o nich i o siebie upomnę. I nie ja jeden. Każdy, kto rolę uprawia, ma prawo jeść chleb ze swojej roli. To raz! Nauka nauką, a uczony niech się nie odrywa od życia, niech mi nie będzie niedołągą... Uczony, uczony!... a kamizelki sam sobie zapinąć nie umie, dzieci nie chowa, o żonę nie dba. Czemu nie godzić praktyki życia z nauką? czemu jej nie wlać w życie i samej życiem nie ożywić?

Tak mówił Wasilkiewicz.

Powiedział i sapał.

Nie w tym rzecz, czy fałsz, czy prawdę powiedział; my dlatego przytoczyliśmy tę rozmowę, że Szwarz, z natury skłonny ku praktyce, wziął ją do serca, rozważał, myślał, dumał i obrał fakultet medyczny.

Niech co chce będzie, człowiek przynosi na świat pewne skłonności.

Szwarc z przyrodzenia był usposobienia realnego, jakoś więcej przystawał do rzeczy, niż do idei; nie lubił także wszelkiej dialektyki. Daleko wolał widzieć przedmiot takim jak jest, aniżeli piękniejszym niż jest. Dwojaki jest ruch myśli w głowach ludzkich: jedne dążą wiecznie od środka, drugie przenoszą wszystko do środka; pierwsze wchodzą w rzeczy badane i ożywiają je, łącząc się z głównym źródłem zaledwie delikatną nitką świadomości — są to tak zwane zdolności twórcze; drugie chwytają niejako rzeczy, przenoszą do własnego źródła, łącząc je, pojmując dopiero tam, układając i porządkując — są to zdolności naukowe. Tamte wrodzone twórcom, te badaczom. Różnica między nimi taka, jak między rozrzutnikiem i sknerą, jak między oddychaniem a wdychaniem.

Trudno powiedzieć, które lepsze: jedne mają dar stwarzania, drugie odtwarzania, a nade wszystko przetwarzania. I w drugich jest niby coś czynnego — prawda, że i żołądek ma tę własność.

Doskonała równowaga między ruchem od środka i do środka jest genialnością. Naturalnie konieczną jest wtedy i szerokość ruchów.

Szwarc miał owe drugie zdolności — skupiające.

A nie tylko je miał, ale i wiedział o tym; przeświadczenie to chroniło go w życiu od wielu niewłaściwości, nadawało pewną równowagę jego chęciom i siłom: nie przedsiębrał nic, co by dlań było niemożliwym.

Rachował się ze sobą.

A miał na koniec wiele zapasu, który w nim można by nazwać zaciętością w nauce. Umysł, który lubił na wszystko patrzeć trzeźwo, chciał widzieć wszystko trzeźwo, żeby zaś widzieć dobrze, trzeba wiedzieć dobrze. Nie umiał zgadywać, potrzebował znać.

To sprawiło, że nie uczył się nigdy przez połowę.

Jak pajak muchę, tak on przedmiot badany skwapliwie omotowywał siecią myśli, wciągał go w siebie, można by rzec, wsysał i przetrawiał.

Myśli jego miały przy tym wysoką ruchliwość. Pożądał — naturalny wynik młodości.

Był samodzielny aż do zarozumiałości. Często odrzucał zdanie przyjęte ogólnie, właśnie dlatego, że miało za sobą powagę. Przyznać jednak należy, że wtedy starał się wynaleźć wszystko, co było *contra* — nie znalazłszy, ustępował. Miał przy tym niemalą energię myśli i czynu.

Wszystko to stanowiło jego siły, jego broń, po części zdobytą już, po części wrodzoną. Zapomnieliśmy dodać, że posiadał jeszcze dwa tysiące rubli.

Zrachowawszy owe zasoby, wziął się do medycyny. Ale im z większym zapasem wziął się do niej, tym więcej rozczarował się z początku. On lubił wiedzieć, a tam trzeba było pamiętać... To lada kto potrafi, przynajmniej jest to kwestia pamięci i woli, nie zaś rozumu. Należało mieć pamięć oczu, pamięć ręki, trzeba było jedno i drugie i dziesiąte włożyć sobie surowo do głowy, umieścić od czasu do czasu jak zboże w spichlerzach. Była to praca niemal rzemieślnicza, organizm umysłowy nie korzystał z tych zapasów, bo się nie przetrawiał, ani przerabiał. Brakło tam pożywności. Filozofia fizycznego ustroju organizmów może dorównać subtelnością i ogromem rezultatów wszystkim innym, ale Szwarc zaczął dopiero poznawać sam organizm; wskazówek, czy istnieje jakaś filozofia tych nauk, nie dano mu dotychczas żadnych.

Wziąwszy się raz, trzeba było brnąć dalej.

Brnął.

A techniczna strona zajęć naukowych była przykra, niewdzięczna, pełna utajonych trudności, niespodziewanych tajemnic, nieraz ciemna, często ledwo dojrzana, najczęściej wstrętne, zawsze pracowita.

Rzekłbyś, że tu natura wypowiadała wojnę umysłowi ludzkiemu.

Szwarc łamał się z trudnościami i szedł dalej.

Owa technika miała jeszcze jedną stronę smutną w oczach Szwarca: źle wpływała moralnie.

Odkrywała koniec życia, nie wskazując, czy istnieje ciąg dalszy. Zdejmowano tam bez najmniejszego wahania zasłonę ze śmierci. Cała ohyda tej podziemnej robotnicy ukazywała się tam z nagą bezczelnością. To, co było umarłego, było zarazem cyniczną obietnicą dla żywych. Śmierć przy jasnym dniu zdawała się mówić: do widzenia w ciemnościach! Była niby zapowiedzią, noszącą w sobie desperackie wskazówki bezsilności człowieka wobec tej siły nieubłaganej, złośliwej, bezczelnej i obmierzłej zarazem. Ta właśnie siła budziła w młodych umysłach gwałtowną reakcję.

Reakcja ta objawiała się tak:

— Nie traćmy czasu, używajmy życia, bo, prędzej czy później, wszystko diabli wezmą!

Przy tych zajęciach delikatność uczucia zacierała się stopniowo; obojętność wyradzała się w brutalność, ambicja w zawiść, miłość przechodziła w namiętność, namiętność w popęd. Miłość była jak słońce widziane przez zakopane szkło; czujesz ciepło, ale nie widzisz światła.

Szwarc bronił się tym wrażeniom, otrząsał się z nich, odrzucał je i szedł dalej.

Na koniec należało być wiernym naukowej zasadzie. Kto ma zaufanie do jednej drogi, nie ma go do drugiej; ta, którą obrał, wydaje mu się najlepszą. W tej, którą Szwarc obrał, wszystko od czasów Hipokrata opierało się na doświadczeniu.

Wzrok, słuch, smak, powonienie i dotykanie — oto jedyne kryteria, na których opiera się ta już dziś wielka budowa.

Tak wierzy zwłaszcza młodzież, jako skrajniejsza we wszystkim od starszych. Co przeszło w naukę inną, niedoświadczalną drogą — było wątpliwym. Każdy, według własnych pojęć, sądzi pojęcia innych. Przypuszczenie czegoś stojącego poza empirią, a jednak prawdziwego, przez takie szkła wydaje się lekkomyślnością. Istnieją tylko rzeczy już zbadane. Ognia przyczyn i skutków są koniecznością lub myślą, ale dopiero w człowieku; historia — kroniką mniej więcej skandaliczną; prawo — opartym na doświadczeniu *modus vivendi* społeczeństw; spekulacja — chorobą umysłową.

Szwarc nie bronił się tym myśłem, bo mu nie przeszkadzały iść dalej.

Zresztą pracował.

III

Upłynął miesiąc. Wieczór był jesienny, pogodny; słońce z wolna gasło na wieżach kijowskich i na dalekich mogiłach stepowych. Na strychu w mieszkaniu Szwarca i Gustawa widno było jeszcze. Obaj, schyleni nad pracą, siedzieli w milczeniu, chwytając skwapliwie ostatnie blaski wieczoru. Gustaw niedawno powrócił z miasta; był blady i zmęczony, sapał więcej niż zwykle, na twarzy znać było jakąś niespokojność, gorycz, a nawet ból niby tajony, a jednak widoczny w gorączce oczu. Milczeli obaj, widać jednak było, iż Gustaw chciał przerwać to milczenie, bo nieraz zwracał się do Szwarca, ale jakby z trudnością przychodziło mu wymówić pierwsze słowo, znów zatapiał się w książce. Wreszcie widoczna niecierpliwość wybiła mu na twarz, porwał czapkę ze stołu, wstał i spytał:

— Która godzina?

— Szósta.

— Dlaczego nie wybierasz się do Potkańskiej? Przecież tam do niej co dzień chodzisz.

— Szwarc wstał i zwrócił się ku Gustawowi.

— Gustawie, sam i na własne jej żądanie zaprowadziłeś mnie do niej. Mniejsza o to, nie chcę mówić o tym, co dla nas obu byłoby przykre; zresztą, rozumiemy się doskonale. Otóż nie pójdę do Potkańskiej ani dziś, ani jutro, ani nigdy. Masz na to moje słowo i moją rękę.

Stali więc w milczeniu, Szwarc z wyciągniętą naprzód ręką, Gustaw, wahający się i zmieszany drażliwym położeniem, wreszcie ścisnął za rękę Szwarca.

Widocznie słowa obu przychodziły z trudnością; jeden nie umiał zdobyć się na serdeczniejsze wyrazy, drugi na serdeczniejsze podziękowanie.

Za chwilę rozstali się.

Dziwne to nieraz bywają uczucia, a sprzeczne z tym, co nam przedstawiają jako nagrodę szlachetnego czynu. Szwarc przyrzekł Gustawowi nie widywać wdowy. Czy ją kochał, czy nie, zawsze to była z jego strony ofiara, bo w jego mozolnym, a jednostajnym życiu, ona była jedynym jaśniejszym punktem, około którego lubił krążyć myślą. Niechby marzenie o niej było tylko wypełnieniem owych chwil oderwanych od ciężkiej pracy, a poświęconych na spoczynek i swobodę umysłu; zrzekać się takich chwil, było odbierać powab odpoczynkowi, było to wyrwać próżnicę w życiu, tam, gdzie uczucie mogło kiełkować i zakwitnąć.

Szwarc po krótkim namyśle zrobił to bez wahania.

Zrobił ofiarę.

A jednak, kiedy Gustaw wyszedł ze stacji, na twarz Szwarca wybił wyraz niechęci, niesmaku, gniewu nawet. Był to żal przeszłości lub spełnionego przed chwilą czynu?

Nie.

Kiedy Szwarc wyciągnął rękę do Gustawa, ten ostatni wahał się z jej przyjęciem. Nie przyjmując ofiary, dawanej przez duszę energiczną, jest to okryć sam czyn ofiarny odcieniem śmieszności i to w przekonaniu samego ofiarodawcy; jest to być niewdzięcznym; jest to rzucić ziarno głuchej nienawiści w bujną niwę miłości własnej.

Ale przyjąć ofiarę współzawodnika, to dla duszy bogatej w dumę jest podłożyć swoje „ja” moralne pod czyjeś nogi, to przyjąć gwałtem wtykane groszaki jałmużny w rękę, co się po nic nie wyciągała. Ma to coś z lekkiego kopnięcia. Duma woli być wierzycielem niż dłużnikiem.

Dlatego Gustaw, wyszedłszy na ulicę, skrzywił usta gorzką ironią, a przez zaciśnięto wargi mrucał do siebie z cicha:

— Coraz to lepiej! Łaska, łaska! Kłaniaj się teraz co dzień panu Szwarzowi i dziękuj za łaskę. Wesołe życie!

I zadumał się głęboko, a przykro. Przestał nawet myśleć o sobie, marzył tylko boleśnie. Czuł w duszy jakiś odgłos smutny, a gwałtem dopominający się choćby jednej chwili szczęścia. Głos ten dźwięczał w nim, jak urwana struna. Rozdzieliła się myśl i dusza. Jedna połowa zmęczona wołała na gwałt spoczynku, druga ponura a sprężysta rwała się jeszcze do życia. Jedną połową myśli widział światło i cel, drugą połowę zwracał chmurnie w nicłość i ciemność. A było jeszcze na dobitkę coś takiego w tym zgryźliwym człowieku, co drwiło z własnego bólu; niby jakiś demon złośliwy wskazywał mu jedną ręką postać jego własną, bladą, brzydką, skurczoną, drugą niby w obłokach, niby w świetle poranku Potkańską w całej jej przepysznej piękności i marmurowym spokoju.

Gdy tak rozrywany gwarem wewnętrznej walki szedł, sam prawie nie wiedząc dokąd, nagle usłyszał za sobą dobrze znany głos, śpiewający basem wesołą piosnkę:

Hop! hop! hop! hop!
I podkówka tego kuta itd.

Obejrzał się — był to Wasilkiewicz z Augustynowiczem.

— Dokąd idziesz, Gustawie? — spytał pierwszy.

— Ja?... ha! dokąd? — (spojrzał na zegarek). Do wdowy jeszcze za wcześnie!... Tymczasem idę do klubu.

— No, to idź prosto do wdowy.

— Co? dlaczego?

— Biada ci! — zawołał Augustynowicz, wzniosłszy ręce do nieba i nie zważając na przechodniów, zaczął głośno deklamować:

Zamek, na którym brzmiało wesele,
Wieczna żałoba pokryje,
Na wałach dzikie porośnię ziele,
U wrót pies wierny zawyje.

— Nie masz po co chodzić do klubu — dorzucił Wasilkiewicz.

— Cóż się stało?

— Smutek tam lęgnie się ze zgrozą — powiedział Augustynowicz.

— No gadajże, co się stało?

— Nieszczęście!

— Jakie?

— Okropne!

— Wasilkiewicz, powiedz za niego po ludzku!

— Władza uniwersytecka zamknęła nasz klub. Ktoś doniósł, że się tam studenci zbierają.

— O której się to stało?

— Dwie godziny temu.

— Trzeba się iść dowiedzieć na miejscu.

— Nie radzę ci. Wsadzą do kozy.

— „Białe ci dłonie skrępują powrozem...”

— Augustynowicz, cicho bądź! Dlaczegoż tego nie zrobili wieczorem? Byliby nas połapali, jak ryby w matni.

— No, chodziło więcej o zamknięcie, niż o połapanie nas; gdyby jednak ktoś teraz przyszedł, złapaliby go niezawodnie.

— Dokąd wy idziecie?

- „Jak na hasło trwogi, klany szłą krzyż ognisty...”
 — Prosiłem cię, żebyś był cicho!...
 — „Tak mężny Rodryg...”
 — Tak, tak — przerwał Wasilkiewicz — idziemy ostrzec innych, i dlatego bądź zdrów, albo chodź z nami...
 — Nie mogę.
 — Dokąd idziesz?
 — Do Potkańskiej.
 — Bądź zdrów!
 — Do widzenia!

Gustaw, zostawszy sam, zatarł ręce; na chwilę uśmiech zadowolenia rozjaśnił jego chmurną twarz. Cieszył się z zamknięcia klubu, zniknęła bowiem obawa, że wdowa, dowiedziawszy się o postanowieniu Szwarca, może znów zechce chodzić do klubu, by go tam widywać. Obawa była uzasadniona: Gustaw pamiętał, że mimo próśb i perswazji, za ledwo tylko obietnicą przyprowadzenia Szwarca do jej mieszkania, mógł ją powstrzymać od tego niestosownego kroku.

Teraz nie miał się już czego obawiać.

Za chwilę pociągnął dzwonek w mieszkaniu wdowy.

— Jak się pani miewa? — spytał służącej.

— Zdrowa, tylko chodzi po pokoju i gada do siebie — odrzekła służąca.

Gustaw wszedł do pokoju.

Mieszkanie wdowy obejmowało dwa pokoiki z oknami, wychodzącymi na ogród: pierwszy był niby salonikiem, drugi sypialnią, do której teraz wszedł Gustaw. W sypialni wierzchnia część okna, hukowato wycięta i oddzielona wąską listwą drewnianą, miała kolorowe szyby, ułożone w rozetę niebieską i czerwoną na przemian. W jednym kącie stał stolik mahoniowy, okryty miętko strzyżoną aksamitną serwetą, na którym były dwa fotografowane portrety. Jeden w drewnianych, inkrustowanych ramkach przedstawiał młodego człowieka, o wysokim czole, blond włosach i pięknych, arystokratycznych rysach twarzy — to był Potkański; na drugim była wdowa z małą, białą ubraną, dziewczynką na kolanach. Przed portretami leżał wianek z nieśmiertelników, obwiniony krepą i gałązka suchego mirtu.

W drugim końcu pokoju, między dwoma łózkami, przedzielonymi wąskim odstępem, mieściła się kolebka, dziś — pusta, niegdyś — pełna szczebiotu i gwaru dzieciniego. Zielona jej powłoczka, umalowana od szyb kolorowym światłem, zdawała się poruszać lekko. Można było mniemać, że lada chwila odsunie ją bieluchna rączka i radosna główka dziecięcia wejrzy na matkę. Cichy smutek panował w atmosferze tego pokoiku. Liście wglądającej przez okno, akacji rysowały się ciemno na podłodze, a poruszane wiatrem ustępowały migotliwie światłu i wracały na powrót. Przy drzwiach była mała statuetka z kropielnicą, pod spodem przedstawiająca anioła chrztu z wyciągniętymi, jakby do błogosławieństwa, rękoma. W chwili, o której mówimy, głowa anioła w blaskach kolorowych jaśniała, jakby łagodną glorią słodyczy, niewinności i spokoju. Zresztą cichość była w pokojkach wielka. Ile dziś smutku, tyle tam dawniej było wesela. Cóż to za radość i szczebiotanie bywało, gdy Potkański, przyszedłszy wieczorem, zmęczony pracą, obejmował kibić żony, odgarniał jej złote włosy i całował to ukochane a pogodne naówczas czoło! Ile było cichej a głębokiej radości, kiedy stali tak milczący, z piersią na piersiach, z oczyma w oczach, podobni do posągu miłości. Potem, bywało, biegli do kolebki, gdzie dziecina gwarzyła na różne sposoby z sobą i, podnosząc nóżki, śmiała się do szczęśliwych rodziców. Teraz tam było pusto. Dziwnie była rozrzewniającą ta kolebka. Zdawało się, że tam jest dziecię. Nieraz wdowa, wkrótce po swoim nieszczęściu, budząc się w nocy, kładła ostrożnie rękę w tę kolebkę, w przekonaniu, że Bóg musiał zlitować się nad nią i, wyjąwszy dziecię z grobu, włożył je tam na powrót.

Słowem, dużo widziały te ściany: radość kołysaną szczęściem pogodnej miłości, potem rozpacz, łzy wielkie jak perły, wreszcie smutek cichy, martwy, uporny, obłądny.

Taka była i takie budziła myśli sypialnia wdowy. Salonik, jak wszystkie na świecie, miał niby trochę elegancji, dużo pustki. I tam zdawały się błędzić echa chwil przeszłych: był widny, czysty, ale pospolity. Przytykało do niego mieszkanie służącej, mała, ciemna alkowa z wyjściem na schody, z przepierzeniem drewnianym. Było to dawne mieszkanie

Potkańskiego. Po jego śmierci trudno było zrozumieć, skąd wystarczały fundusze na taką siedzibę, to jednak należało do Gustawa, on sam wiedział, co robił. Pretensji ze strony właściciela nie było żadnych — jak zaś to tam się robiło, potem powiemy.

Ile razy Gustaw wchodził do owego pokoiku, drżał.

W miejscu, gdzie jej było pełno wszędzie, gdzie wszystko, co nie było nią, było dla niej, czuławsze rodzaj ciężaru na piersiach; niby jakaś ręka wgniałała mu serce głębiej. Ciśnienie to jednak było rozkoszne. Było to zbieranie się w sobie piersi, jakby dla uchwycenia tym więcej powietrza. Być ugniecionym dłonią poczucia szczęścia, to prawie być szczęśliwym; tylko że poza tym leży cały bezbrzeżny obszar pragnienia. Rozlewa się wtedy ono na całego człowieka, wchodzi w krew, objawia się w drzeniu słów, w blasku źrenic. Pragnienie owo samo nie wie czego żąda. Między „za mało” i „za dużo” nie masz tam granicy. Jest to wstydlive żądanie wszystkiego. Bywa wtedy człowiek śmielszy na zewnątrz, niż na wewnątrz; przerażają go własne słowa; zdaje mu się, że ktoś inny mówi, streszcza się w spojrzeniu, chce się roześmiać spazmatycznie, albo wybuchnąć. Kocha, czci, ubóstwia kobietę jak anioła, a anioła pragnie jako kobiety.

Tęgo doświadczał Gustaw, gdy wchodził do pokoiku wdowy. Wszystkie rodzaje pragnień, jakie duch i krew razem wytworzyć mogą, nalatywały wtedy nań zewsząd, niby stada ptactwa.

Ona stała przed nim.

Wyglądała blado, na policzkach jej przebijał się lekki ślad rumieńca, lub może odbłask wieczoru. Delikatny jej profil rysował się milcząco, jak sylwetka na tle okna. Trzymała w ręku grzebień i, stojąc przed małym zwierciadłem srebrnym, czesała włosy. Przepyszne rozpuszczone sploty wiły się, niby fale, koło jej bladego czoła. Złoto owo spływało po jej piersiach i plecach, zdawało się kapać, jak rozpuszczony bursztyn.

Spostrzegłszy Gustawa, powitała go dłonią i ledwo dostrzeżonym uśmiechem.

Wdowa już wyszła z dawnej swej skamieniałości. Nagłe a gwałtowne wstrząśnienie, jakie widok Szwarca na niej wywołał, ocuciło ją. Poczęła myśleć. Jednej tylko rzeczy nie mogła z początku rozwiązać: postać Szwarca tak w jej umyśle plątała się z postacią Potkańskiego, że sama nie wiedziała, czy mąż jej dawny nazywał się Szwarz czy Potkański. Były to resztki obłędu. Ale wkrótce wrócił promień światła w ów pokryty ciemnią umysł. Prosiła Gustawa, by mogła widywać Szwarca; Gustaw, lubo z niechęcią, zgodził się na to. Z tęsknotą wyczekiwała wieczoru, kiedy mogła oglądać to dawne wspomnienie szczęścia. Nie Szwarca, ale owego wspomnienia w nim szukała. Był jednak dla niej koniecznym.

Z wolna też i bardzo nieznacznie przeszłość zmieniała się na teraźniejszość, marzenie na rzeczywistość. Szwarz, spostrzegłszy to, przyrzekł Gustawowi nie bywać; przygotować i oznajmić tę wieść Helenie należało do Gustawa.

Łatwo było przewidzieć, jakie wrażenie musiało to na niej wyrzucić. Klasnęła w dłonie i odrzuciła w tył głowę. Potok włosów z szelestem okrył jej plecy.

— Gdzie ja go zobaczę? — pytała natarczywie Gustawa.

Ten milczał.

— Ja muszę go widzieć, tu czy gdziekolwiek. On tak podobny do Kazimierza... Boże mój! Ja cała żyję... tym wspomnieniem. Panie Gustawie...

Gustaw milczał.

Oburzał go niemal ten ślepy egoizm wdowy. Dramat poczynał się w nim rozgrywać na nowo. Ona go prosiła, by zrobił wszystko dla podkopania własnego szczęścia! Nie, na to trzeba być głupcem! Ale znowu — to ona prosiła. Przyciął wargi do krwi i milczał. Przecież i jemu należy się coś od życia. Wszystko, co w nim składało człowieka, opierało się jej prośbom z rozpaczliwą energią — ona tymczasem nagliła:

— Panie Gustawie, pan potrafisz to zrobić, żebym ja go widziała. Ja go chcę widzieć! Dlaczego mi wyrządzasz taką krzywdę?

Gustawowi pot zimny okrył czoło, przeciągnął ręce po twarzy i ponurym głosem odpowiedział:

— Ja pani nie krzywdzę... ale... — tu głos mu zadrżał, Gustaw zrobił wysilenie, żeby jej nie paść do nóg i nie krzyknąć: „ale kocham ciebie! nie dręcz mnie!” — ale... on tu nie zechce przyjść — kończył zaledwie dosłyszalnie.

Dużoby dał, gdyby mógł uniknąć tej chwili.

Helena zakryła twarz rękoma i padła na fotel.

Milczenie panowało znów przez chwilę i słyhać było szmer liści za oknem... a tu dusza człowieka wiała się w walce z sobą. Sprowadzać Szwarca po to, by mu odebrał Helenę, było to dla Gustawa już wyuzdanie nieszczęścia.

Ale walka krótko trwała: ukląkł przy Potkańskiej i, cisnąc jej rękę do ust, mówił przerywanym głosem:

— Zrobię, co będę mógł... Przyjdzie tu!... Co komu do mnie?... Przyjdzie, ale nie mogę powiedzieć kiedy... ja go sam przyprowadzę...

Wkrótce potem, wychodząc z mieszkania wdowy, mruczał przez zaciśnięte zęby:

— Tak... przyjdzie! ale nie ja go przyprowadzę... przyjdzie... za miesiąc... za dwa... Za miesiąc może już będę spokojny.

Napad kaszlu przerwał mu dalsze rozmyślenia. Długi czas błąkał się jeszcze po ulicach, kiedy wrócił do domu, na wieży kościelnej wybiła druga.

Szwarc już spał. Oddychał równo, spokojnie... Światło lampy padało mu na wyniosłe czoło i odkryte piersi... Gustaw wpatrzył się w owe piersi gorączkowo.

Oczy błyszczały mu nienawiścią.

Przesiedział tak z godzinę, nagle drgnął...

Oprzytomniał.

Budziło się w nim uczucie zupełnie sprzeczne z tym, czego doświadczał dotychczas. Uczuł, że był głodny. Przeszedł więc ku półkom, na których leżały książki i, wydobywszy z nich kawał razowego chleba, począł go jeść skwapliwie.

Od dwóch dni nie miał nic w ustach.

IV

Nadchodziła jesień. Zimno było po mieszkaniach biedniejszych studentów. Jaki taki, owinąwszy się kołdrą i włożywszy czapkę na głowę, rozgrzewał się książką. Mieszkania studentów, którzy mieli za co palić w piecu, roily się mnóstwem kolegów. Do klubu nie schodzono się więcej. Były z początku usiłowania, żeby obrać i sformować jakiś inny, ale spełzło to na niczym, bo z jednej strony Gustaw, z drugiej — Szwarc, który miał już znaczny wpływ na studentów, opierali się temu zgodnie. Szczególniej Szwarc, który uważał, że kluby dużo zabierają czasu, a mało pożytku przynoszą, chciał zaprowadzić reformę w tym względzie i udało mu się na koniec. Mimo wszelkich głosów przeciwnych bronił tej myśli w uniwersytecie, a szczególnie w mieszkaniu Wasilkiewicza, gdzie schodzono się ochotniej niż gdzie indziej. Wasilkiewicz mieszkał u Karwowskiego, a raczej ten ostatni u Wasilkiewicza, bo jakkolwiek Karwowski majątny bardzo (był to ów błądy młodzieniec, który grywał kolegom w klubie), opłacał daleko znacznie większą część mieszkania, duszą jednak i osiłą owego kawalerskiego gospodarstwa był nasz żmujdzin.

Godna była podziwu, a nawet zazdrości, przyjaźń między tymi dwoma młodymi ludźmi. Jeden delikatny, pieszczony, piękny, z głową pełną najszlachetniejszych marzeń, łagodny i lubiony od wszystkich, płynął lekko przez życie wśród wygod i dostatków; — drugi, prawdziwy litwin, brzydki, dziobaty, z krótko strzyżoną czupryną i iskrzącymi oczyma, żywy, pracowity, energiczny, a głęboko wykształcony, był dla pierwszego jakby opiekunem lub starszym bratem. Wasilkiewicz posiadał serce gorące i, jak to mówią, niby na dłoni. Gdy raz Karwowski zachorował niebezpiecznie, pilnował go dniem i nocą z prawdziwie bezprzykładnym zaparciem się siebie, a gdy wreszcie wyzdrowiał — litwin płakał i wymyślał mu z radości.

— Ach ty, błaznie! — mówił — jemu to zachciało się chorować! Spróbuj-no tylko jeszcze raz to zrobić!

Studenci nazywali ich dobranym stadłem; dziad, żebrzący niedaleko ich domu, stary ślepiec ukraiński, któremu często dawali jałmużnę, mawiał o nich: „dobry panyczi”.

Łączyło ich wiele stosunków, a w szczególności jeden, o którym zaraz powiemy. Latem, bywało, przepędzali ferie na wsi u Karwowskich. Tam była siostra Karwowskiego, paniątka nieładna, słabowita, ale dziwnej dobroci serca, cicha, spokojna, prawdziwy anioł, z opaloną twarzą i wątłą postacią. Owóż tę paniątkę kochał Wasilkiewicz, kochał po swojemu, bardzo głęboko, z wiarą w nią i w siebie, a co większa ze wzajemnością. Rodzice jej nie bardzo tam o tym wiedzieli, a jeśli i wiedzieli, nie chcieli przeszkadzać młodemu. Paniątka była nieładna, on uczciwy i pewny człowiek, równoważyło więc to

trochę nierówność położenia towarzyskiego. Zresztą nie chcieli syna pozbawić towarzystwa, które ze wszechmiar mogło mu tylko wyjść na korzyść.

Jeszcze jedną dobrą stroną miał ten litwinisko: kochał nad wszystko rodziców swoich, staruszków, jak ich nazywał. Staruszkowie siedzieli na głębokiej Żmujdzi, już bliżej Inflant, byli biedni, syn im pomagał. Ojciec jego był pobereźnikiem w lasach. Chata tam stała niska, a naokoło szumił las i bełkotały fale, za lasem i za falą był znowu las i fale — zapadły kął pojeziński! Diabeł tam mieszkał, wedle podań miejscowych, ale jakoś nie przeszkadzał staruszkom. Tam to ujrzał światło dzienne Wasilkiewicz.

Chłopakiem będąc, chodził na ryby, tłukł się za kaczkami na pojeziorzu, wybierał gniazda na moczarach. Była to natura zdrowa i dzielna. Wykołysała go przyroda, uczyły go i ptaki i drzewa i fale. Począwszy od paproci leśnej aż do buku, co sam nie wiedział, gdzie mu się w niebie wierzch podział, wszystko to było dlań księgą, której pierwsze słowa sam się nauczył czytać. Ptasie rzeczypospolite wypowiadały mu swoje prawa; raz widział, jak bobry biły ogonami tamę na strumieniu; wiedział, jak za głosem żolny można trafić do barci ukrytych; umiał borsukom wybierać młode; nawet i wilczaki przynosił niekiedy żywcem do domu. Gdy podrósł, ojciec nauczył go czytać, wywłócił ze skrzynki trochę zapleśniałych miedziaków i oddał do szkół syna. Odtąd zaczęły się cięższe czasy. Trzeba się było uczyć — uczył się tedy. Dużo było-by opowiadać, ile i co tam on przechodził, nim dobrał się do uniwersytetu i zaczął być takim, jakim go poznaliśmy.

Rodzice stokrotnie płacili mu za miłość. Była to istotnie para ubielonych wiekiem gołąbków, kochających się między sobą, zgodnych i szczęśliwych.

Szczęście i spokój mieszkają tam w tej chacie. Zdarzają się, lubo z rzadka, takie świetliste miejsca na ziemi, niby oazy na pustyni. Staruszkowie cieszyli się sobą, zabiegali wedle siebie, jakby w pierwszych dniach po ślubie, nazywali się sokolikiem i jagódką; a jaka tam radość była, gdy syn zjechał na święta, tego już żaden język wypowiedzieć, ani żadne pióro opisać nie zdoła. Z Wasilkiewiczem przyjeżdżał i Karwowski. Staruszkowie lubili go i rozpieszczali także, ale nic było dla nich, jako ich Jasiak, którego często po prostu „nasz” nazywali.

Nieraz, gdy młodzi ludzie, zmęczeni całodziennym bieganiem po puszczy, wrócili wieczorem późnym do domu, staruszkowie, idąc spać, gwarzyli o nich z cicha. Oto, co raz Karwowski usłyszał przez przepierzenie alkierza:

— Ono to gładki chłopiec ten Karwowski! — mówił staruszek.

— Ale nasz równo jeszcze gładszy — odparła staruszka.

— O, gładszy, gładszy!

Tymczasem ten „nasz” był sobie szpetny, co się zowie, ale przez pryzmat rodzicielskiej miłości wydawał się im urodniejszym od całego świata. Tak to nie rzeczywistość sama, ale serce, z jakim ku niej przystępujemy, daje rzeczom kształty i kolory.

Ale wróćmy do Kijowa i do naszych znajomych. Nic dziwnego, że przy takich gospodarzach, jak Wasilkiewicz i Karwowski, mieszkanie ich, w którym, prócz tego, był piec doskonały, stało się ogniskiem dla wielu z młodzieży. Kupiła się tam nawet poniekąd inteligencja uniwersytecka, utworzył się rodzaj wieczorów literackich. Wszyscy, co tylko czuli jakąś żyłkę pisarską, publikowali tam swoje utwory. Dłuższe wieczory jesienne zmieniły się na prawdziwe posiedzenia literackie. Ile tam myśli gorących wypowiedziały młode usta, trudno by policzyć. Gospodarze, Szwarz przez krótki czas, Gustaw, a szczególnie Augustynowicz, wodzili rej na tych zebraniach. Szwarz spróbował był swoich sił twórczych, ale mu nie szło jakoś, nie miał talentu, po prostu nie umiał obrazować, tworzyć, ani nawijać własnych pomysłów na ową złotą nić fantazji, co to niby w promieniach tęczowych wykąpie rzecz każdą, nim ogrzaną i rozświeconą rzuci w świat na kształt błyskawicy letniej nocy.

Ale miał za to inny rodzaj talentu. Sądził zdrowo, a co większa dowcipnie. Kiedy przeczytawszy własny utwór, począł go rozbiierać wobec wszystkich, wesołe śmiechy trwały do późna w mieszkaniu. Tak bywało i z innymi; jeżeli szydził, leciały wióry z owych pierwotnych płodów, składanych na ołtarzu sztuki. Umiał tak głos i wyraz twarzy nastroić do toku słów własnych, że, jeżeli chciał, najsmutniejsza rzecz budziła śmiech największy. Jednało mu to wielkie poważanie. Szczególnie ci, co, czując sympatię do księżycy, uderzali w sentymentalne struny serc swoich, obawiali się go jak szatana.

Wasilkiewicz jędrnie opisywał swoje bory litewskie i jeziora. Karwowski dopuszczał się od czasu do czasu pieśni lirycznych, w których rosa, lzy, konwalie i westchnienia gadały z sobą, jak ludzie. Zresztą, nie o rozsądek tam chodziło, ale o miłość wiejskiego pastuszka do brzeziny polnej, która po jego śmierci „wzięła i zwiędła”, według słów tych smutnych pieśni.

Były tam tedy rzeczy lepsze i gorsze; śmieszności zdarzały się często, ale czasem trafiło się i coś lepszego, czego warto było posłuchać, zwłaszcza że powoli, wprawą i krytyką, zaczęły się tu i owdzie mniejsze lub większe zdolności okazywać.

Ale wśród wszystkich celował zawsze Augustynowicz. Nieraz bywało przyjdzie, Boże odpuść! pijany; zeszyty ma potłuszczone i brudne, pisane dorywczo, byle zbyć; ale jak zacznie czytać, zapomnisz o wszystkim, duszą przylgnąwszy do słów jego. Niejeden dołożył i ręki i głowy, wyciągnął z siebie, co tylko było najlepszego, napisał rzecz mniej więcej dobrą, ale pospolitą. Ten „oczajdusza” złapał już na miejscu pióro, w izbie gwar i głośne rozmowy, a tu kartki mu lecą i lecą pod stół spod ręki. Potem, bywało, zbierze je i zasiądzie niedbale, a wszyscy słuchają i niejeden zazdrości w duszy. Postaci jego takie jakieś żywe, takie wypukłe, pod falą słów płynie myśl stukolorowa, jak wąż klejnotami świecąca. Gdy zacznie mówić o miłości, czujesz bicie ukochanego serca na swoim własnym, gdy wzbierze potęgą zapału, huczą słów grzmoty i myśl oślepiona błyskawicami drży przelękła, a kiedy w cichym spadku słów rzewne jakieś maluje uczucie, w powietrzu zda się woń mirtu i róży, paproć rozkwita w noc miesięczną, a gdzieś zza lasu, zza boru płynie po rosie echo piosenki dziewczyny.

Ha, miał talent! Odpadały od niego luźno piękne słowa i piękne myśli, nie mając zda się związku z nim samym. Były to kwiaty na bagnie. Jednocześnie objawy humoru, w których upadek moralny szedł w parze z bezwstydem, świadczyły o tym najlepiej.

— Ej, Augustynowicz, Augustynowicz! — mawiali mu wtedy koledzy — przy twoich zdolnościach, żeby tak diabeł w tobie nie siedział, co byś ty mógł zrobić, urwisie!

— Właśnie dlatego chcę go zatopić! Nie macie tam czego się napić? — odpowiadał.

Gustaw kilka tylko razy był na tych zebraniach; nie lubił Karwowskiego, po prostu dlatego, że go lubili wszyscy. Im trudniej mu szło w życiu, im większe chmury zalegały horyzont jego miłości, tym stawał się drażliwszy, tym więcej gorzkniał. Namiętne a nieszczęśne przywiązania mają to do siebie, że wytwarzają równoległe namiętne nienawiści. Taka nienawiść nieześrodkowana jeszcze na kogoś lub na coś, zalegała piersi Gustawa i tliła się w nim jak zarzewie. Nienawidził wszystkich, którzy posiadali to, czego brak sam odczuwał. Czuł się niby pokrzywdzonym, a za wszelką krzywdę takiej natury zwykły płacić choćby w teorii tylko.

Odsunął się więc od towarzystwa młodzieży, choć jedynie tam były serca, które mogły dla niego uderzać. Wiedział o tym i, pomimo nienawiści dla wszystkich, kochał ich, jednak zamknął się sam w sobie.

Współczucie upokarzało go, wszędzie podejrzewał litość, a bał się jej.

Zresztą wiadano tam o tym, że Szwarc obiecał mu nie chodzić do Heleny. Wiadomość ta nie wyszła z ust Szwarca, ale od niego; sam ją wygadał w chwili rozdrażnienia. Naturalnie Szwarca postawiło to wysoko w opinii kolegów, Gustaw gryzł się tym. Między nim a Szwarem zalegała już ciemna chmura niechęci.

Wdowa z coraz większym naleganiem, coraz usilniej, coraz namiętniej upominała się u niego o Szwarca. W oczach Gustawa odbywał się w niej złośliwość dla niego proces. Potkański coraz więcej wcielał się w tę nową postać, rozpląwał się i niknął w niej. Powoli, a właśnie długim rozdziałem wyegzaltowane serce Heleny coraz więcej upominało się o Szwarca, już dla niego samego. Nowa epoka zmartwychwstałego szczęścia dla niej, nowa epoka zamarłej dla Gustawa nadziei, zstępowała z wolna, popychana gburowatą ręką konieczności, zrodzona z łez, przypadku i bólu.

— Może, może niedługo będę spokojny! — myślał. — Niech się co chce dzieje, ja go raz drugi nie przyprowadzę.

Łatwo się każdy domyśli, co się ukrywa pod podobnego rodzaju refleksją. Gustaw sądził, że potrafi zagłuszyć się pracą, był zmęczony coraz więcej; szczęśliwsze chwile miewał tylko we śnie.

Raz śniło mu się, że klęczał u kolan Heleny i całował jej ręce; czuł wyraźnie jej drogie dłonie na własnym sercu. Potem w sennym zwichrzeniu namiętności trafił ustami na jej usta... i prawie cierpiał z nadmiaru szczęścia...

Potem następowало przebudzenie.

Widował ją co dzień... był jej tak blisko... a zawsze tak z daleka.

Zmizerniał jeszcze i schudł; w oczach świeciły mu gorączkowe przebłyski niezłamanej woli. Ta gorączka wyczerpywała, ale trzymała go na nogach.

— Ciekawy jestem, co to będzie? — mrucał przez zapiekłe wargi.

Była jednak jedna strona, prawie wzniosła w tym ponurem napięciu cierpienia. Gustaw nie marzył, brał życie jakie było, nie zaś jakie być mogło. Mimo opłakanego stanu zdrowia, umiał pracować i pracował więcej, niż kiedykolwiek. Żeby, przyszedłszy od wdowy, zasiąść do pracy, trzeba było nie lada siły — takie zwycięstwa odnosił nad sobą codziennie. Zebrał około siebie kilka zdolniejszych głów, i jakby w przeciwstawieniu do zebrań Wasilkiewicza, utworzył kółko, pracujące wyłącznie naukowo. On i dwaj inni pisali gramatykę języków łotyskich... on, mimo ciągłych kłótni ze współpracownikami, stał na czele tej pracy, a co ukradł cierpieniu, to jej poświęcał. Helenę widywał codziennie.

V

Nic nie mogło być drażliwszego nad stosunek Szwarca do Gustawa.

Ci dwaj ludzie mieszkali razem.

Nareszcie pewnego dnia Gustaw, wróciwszy od wdowy, zastał rzeczy Szwarca popałowane, on sam zajęty był układaniem książek i bielizny.

Milczeli obaj, dopóki wszystko nie było gotowe; na koniec Szwarz odezwał się:

— Gustawie, bądź zdrow! Wyprowadzam się.

Gustaw podał mu rękę, nie rzekłszy ani słowa. Rozstali się zimno.

Po drodze spotkał Szwarca Wasilkiewicz.

— Ho, cóż-to? — pytał — przenosisz się?

Szwarc odrzekł:

— Znasz mój stosunek do Gustawa, osądź sam, czy mogę z nim dalej mieszkać?

— Ale to widzisz, nie wypadałoby opuszczać go w takim stanie, jak jest dzisiaj.

— Rozumiem, ale zaręczam ci, że ja tylko mogę go drażnić. Wiesz wszystko, co dla niego zrobiłem; nie powinien by mieć powodów niechęci... a jednak!...

Wasilkiewicz ścisnął mu rękę.

Mieszkanie Szwarca wynajęte było w dużym kilkopiętrowym domu. Składało go dwa pokoiki obszerne i widne. Prócz funduszów, przywiezionych z domu, Szwarz zaraz po przyjeździe znalazł sposoby, które dozwalały mu oszczędzać, ile możliwości, kapitału. Zaczął tedy przemyśliwać o przedniejszym urządzeniu się na przyszłość i wreszcie urządził się istotnie daleko wykwintniej. Na pierwsze wejście można było w nowym mieszkaniu poznać zamożność i dostatek. Łóżko było codziennie porządnie zasłane, podłoga wymięcioną, a w małym piecu kaflowym co dzień szarą godziną palił się wesoły ogień; ciepło bywało, aż się dusza radowała! Zresztą, cały dom był porządniejszy, ba, nawet elegancki. Na pierwszym piętrze mieszkał jakiś generał z żoną i dwiema córkami, brzydkimi jak noc zimowe, na drugim — Szwarz i francuz, inżynier, od którego wynajęte były pokoiki, a na trzecim — jakiś podupadły hrabia, człowiek ongi, podobno, niezmiernie bogaty, dziś zbankrutowany, mieścił się w trzech czy czterech pokojach z córką dorosłą i dwiema dziewczkami ukraińskimi. Takie było sąsiedztwo Szwarca. Dało mu się ono wkrótce we znaki, bo u inżyniera dzień cały jęczał fortepian, na którym dzieci uczyły się wygrywać wszystkie kontredanse, jakie kiedykolwiek gdzie tańczono; u generała były znów ciągle zabawy, tańce i wieczory. Tupano tam, jak we młynie, po całych nocach służba uwijała się po schodach, hałasu i turkotu nie brakło. Jeden tylko hrabia zachowywał się cicho. Nic dziwnego, jako żydzi nad gruzami Jerozolimy, tak oni siedzieli tam na gruzach własnej wielkości, rozpamiętywając ją smutno. Szwarz nie znał ich dotychczas prawie, czasem tylko szarą godziną po trzeszczeniu schodów i ciężkich krokach domyślał się, że stary hrabia prowadzi córkę na spacer; ale, nie lubiąc koron ani głów utytułowanych, nie był co prawda ciekawy wyjrzeć na nich.

Raz jednak zobaczył coś, co go więcej zainteresowało. Pewnego dnia, idąc do siebie, spostrzegł między pierwszym a drugim piętrzem pochylony przez poręcz jakiś biuścik z główką wcale kształtną, o błękitnych oczach i ciemnych włosach. Oczy owe, przysłonięte ręką, pilnie upatrywały czegoś w półmroku sieni. Spostrzegłszy Szwarca, cofnęła się naprzód główka, za nią i torsik, a kiedy Szwarz przyspieszył kroku, chcąc bliżej spojrzeć na panienkę, zobaczył tylko dwie małe w czarnych trzewiczkach i białych pończoszczkach nóżki. Nóżki owe uciekały co tchu na górę.

— Aha, więc to hrabianka! — pomyślał Szwarz.

Hrabianka zaintrygowała go jednak. Sam nie wiedział, dlaczego, szarą godziną siedząc przed ogniem, widział wyraźnie przed sobą ową parę nakrytych ręką oczu, białe czoło ujęte w pukle ciemnych włosów i nóżki w czarnych trzewiczkach.

W parę dni potem, kiedy późną godziną, zdmuchnąwszy świecę, kładł się w łóżko, usłyszał nagle jakiś głos, śpiewający smutną włoską piosenkę. W sieni i mieszkaniu Szwarca pełno było tych tonów młodych, dźwięcznych i sympatycznych; pieszczony a namiętne zaklęcia i wyrzuty rozlewały się z dziwnym urokiem w ciszy nocnej; słowa dochodziły wyraźnie, głos ten śpiewał:

*E tu spietato, da un'altra amato
Dici è delirio, e non è amore
Piange mi vadi, ne a me tu credi
Or tu sei! tu sei barbaro che non hai cur etc.*

— A, hrabianka śpiewa! — mruknął Szwarz.

Nazajutrz rano zupełnie znów nie wiedział, dlaczego przy ubieraniu się, trąc zawzięcie mydłem ręce, jakby dla dodania sobie energii, śpiewał wielce patetycznie:
Or tu sei! tu sei barbaro!

Ale wkrótce przestał o tym myśleć, zamiast hrabianki przyszła mu na myśl wdowa. „Ta kobieta albo już mnie kocha, albo kochałaby bardzo wkrótce” — pomyślał sobie. Żał mu się zrobiło owych chwil, w których patrzył jej w oczy... „Co za szczególna kobieta!” — dumał. „Jakże ją też musiał kochać ten Potkański... ha! a Gustaw”. Szwarz zmarszczył się. „Gustaw, czy ja tam będę, czy nie, zagryzie się, zatruje — zgubi go ta miłość... hm! każdy odpowiada za siebie. Ale ciekawym, co też ona mówi, że mnie nie ma?”

Odtąd często przychodziła mu na myśl ta chwila, w której ona tak bardzo blada, z wyciągniętymi rękoma, wołała na niego: „Znalazłam cię, mój Kazimierzu!”

Gdyby tylko chciał, mógłby ją odszukać, kochać i być przez nią kochanym.

Ten plan prawdopodobnej miłości spać mu nie dawał. Jak każdy młody człowiek, czuł potrzebę kochania; serce uderzało mu gwałtownie, jakby chciało pęknąć rozsadzone własną siłą. A dotychczas, prócz wdowy, nie znał żadnej kobiety. Przemykały mu przed oczyma czarne trzewiczki i białe pończoszki hrabianki, ale lekkie to marzenie obsuwało się w nicość. Tymczasem wspominał, jak pewnego razu w czasie rozmowy trzymał dłoń wdowy, pamiętał, jak miał ochotę pocałować tę rękę, ale pamiętał także, jak złowrogo świeciły naówczas oczy Gustawa. Ogarniała go zazdrość. Czasem ledwo dostrzeżona chmurka żalu zawczesnego przyrzeczenia przemykała mu się w duszy i skrywała gdzieś w najciemniejszych jej pieczarach. Wtedy powtarzał sobie wielce tragicznym tonem: „Przyrzekłem, nie pójdę!”

Jeszcze jedno gniewało go — ludziom szanownym a podziłym wyda się to paradoksem — gniewał go spokój życia. Nauka przychodziła mu łatwo, trudności na drodze nie spotykał, nie zużywał sił wszystkich, i to budziło w nim niesmak. Młode a czynne natury, tak jak młodzi żołnierze, czują potrzebę wykąpać się w ogniu walki. Ta chęć walczenia, która w wieku późniejszym wydaje nam się nieprawdopodobną, w pewnych latach stanowi wcale poważnie jedną z konieczności ducha. Pamiętamy monolog Szwarca w mieszkaniu Gustawa pierwszego zaraz dnia przyjazdu do Kijowa. Chciałby rzucić rękawicę, czy to w imię nauki, czy w imię uczucia, komu? — całemu światu. Młode orłęta próbują latać, mając nad sobą obłok, pod sobą otchłań. Najpospolitszy nawet człowiek, nim się spostrzeże, że jest żółwiem, ma chwile, w których zdaje mu się, że jest orłkiem.

W takiej fazie był Szwarz, a tu po prostu nie było z kim, ani o co iść na udry.

W uniwersytecie miał mniej więcej współwyznawców; pole mogło się otworzyć na szerokim świecie, ale tego szerokiego świata Szwarz nie znał jeszcze. Nagle jednak zaszło zdarzenie, które wyrwało go z odrętwialości.

Augustynowicz przeskrobał coś w ten sposób, że to czyniło ujmę honorowi studentów.

Postanowiono go wypędzić.

Nie było to już pierwszy raz, ale zawsze jakoś sami studenci zacierali to między sobą, nie chcąc kompromitować się wobec opinii — teraz przebrała się miarka. Nie będziemy czytelnika zapoznawali z rodzajem winy, co nam po brudach! dość, że sąd, złożony ze studentów, stanowczo był za wydaleniem winnego ze swego grona. Od takiego wyroku nie można było apelować, bo władza uniwersytecka potwierdzała go zawsze — tak więc rozmazywało się tylko przewinienie.

Wzburzenie między studentami było wielkie; nikt nie ujmował się za Augustynowiczem, prócz Szwarca, który, trzęsąc połową uniwersytetu, użył wszystkich sił, by go uratować.

— Chcecie go wypędzić? — mówił na wielce burzliwym zgromadzeniu. — Chcecie go wypędzić? ale czy myślicie, że, wyszedłszy z uniwersytetu, nie będzie nam robił wstydu? Co z sobą zrobi? gdzie się podzieje? Jaki znajdzie sposób do życia? z czego się utrzyma? A co do niego samego, czy wiecie dlaczego upadł? — Nie! Spytajcie go, kiedy jadł obiad? Jesteśmy między swoimi. Podnieście mu którąkolwiek nogę — prawą, czy lewą — wszystko jedno: jeśli pod butami znajdziecie choć jedną całą podeszwę, to go wypędzicie. Co do mnie, twierdzą, i niech piorun tego trzaśnie, co twierdzi inaczej, że ratować, nie gubić, powinniśmy się. Dajcie mu ratunek, dajcie na chleb, weźmy na własną odpowiedzialność!

— Kto go bierze na własną odpowiedzialność? — spytał któryś z antagonistów Szwarca.

— Ja! — krzyknął grzmiącym głosem Szwarz i cisnął czapkę na ziemię.

W izbie powstał gwar i zamieszanie. Szwarca poparł całym wpływem Wasilkiewicz, inni się upierali za wydaleniem — zrobił się „huczek niemały”. Szwarz wskoczył na ławkę i, zwracając się do Augustynowicza, krzyknął:

— Przebaczą ci! Zabieraj się i chodź ze mną!

Wyszedłszy, zatarł ręce z wewnętrznej radości i zawołał:

— Szkoda było takiej głowy! Prócz tego, zjedzą diabła, jeżeli coś teraz zrobią beze mnie!

— Szwarz! dlaczego mnie ratowałeś? — pytał Augustynowicz.

Szwarc zwrócił ku niemu twarz surową.

— Dziś jeszcze sprowadzisz się do mnie.

Inny tymczasem dramat rozgrywał się w mieszkaniu Potkańskiej. Była to szczególniejsza kobieta; nie mogła, nie umiała żyć, nie uczepliwszy życia o jakieś uczucie. Pierwszy raz trafiła szczęśliwie, więc była wzorem matki i żony. W obecnej chwili zdawało jej się, że znalazła ratunek w Szwarzu, a tu miesiące płynęły, jak go nie widziała. Coraz usilniej pragnęła go, coraz usilniej opierał się temu Gustaw.

Musiło nastąpić ostateczne starcie tych wprost przeciwnych usiłowań.

— Jeśli mi go nie wrócisz — mówiła pewnego wieczoru, łzami zalana wdowa — to ja sama pójde go szukać. Jam gotowa klęknąć przed tobą i na kolanach prosić ciebie o niego. Gustawie, mówisz, że Kazimierz prosił ciebie, byś miał opiekę nade mną... więc zaklinam ciebie na imię jego... O Boże, Boże!... Ty nie rozumiesz, że można cierpieć... tyś chyba nigdy nie kochał!

— Ja, pani?... nigdy?... — mówił bardzo cicho Gustaw, a w oczach błyszczała mu boleść prawdziwa. Może ty, pani, prawdę, mówisz... Więc tyś nic nie dostrzegła? nic nie widziała? Ja sam nie wiem, czym kogo kochał... prócz... Boże, co ja wyrzeknę!... prócz ciebie jednej!

Rzucił się do nóg Heleny.

Nastała wielka cichość. Rzekłbyś, dwoje ludzi skamieniało. Ona przegięta w tył, z rękoma na twarzy, on u nóg jej.

Trwali tak: oboje doszli do zapamiętania, ale największy ból ma chwilę, w której się przesila.

Wkrótce on powstał. Był już inny, był spokojny bardzo. Zbudził ją i począł mówić cichym, przerywanym brakiem oddechu głosem:

— Przebac mi, Heleno! Nie powinienem był tego robić! ale bo widzisz, cierpiałem od tak dawna. Pierwszy raz... rok trzeci idzie, widziałem cię w kościele... ksiądz właśnie kielich podnosił, a ty się schyliłaś... Bywałem jeszcze wówczas w kościele!... potem widywałem cię częściej, i daruj!... ja sam nie wiem, jak się to stało! Potem zostałeś jego żoną — milczałem... I teraz nie chciałem ciebie obrazić, ani ci dokuczyć, ale powiedziałaś, że chyba nigdy nie kochał... Widzisz, że to nieprawda... Tak trudno wyrzec się ostatniej nadziei... Przebac mi... Szwarz jeszcze dziś przyjdzie do ciebie... to szlachetny człowiek — kochaj go i bądź szczęśliwa... i bądź zdrowa.

Pochylił się ku niej i, podniósłszy brzeżek jej sukni, z błyszczącymi oczyma, utkwionymi w niebo, ucałował go jakby świętość.

Za chwilę wdowa pozostała sama.

— Co on mówił? — szeptała cicho — co mówił Gustaw?... Mówił, pamiętam, że on przyjdzie znów do mnie. Czy ja nie marzę?... Ale nie... On przyjdzie.

VI

Tymczasem Augustynowicz zakwaterował się na dobre u Szwarca. Co za różnica jego dawniejszego życia z teraźniejszym! Dawniej nie miał ciepłego kąta — Szwarz dał mu ciepły kątek; nie miał łóżka — Szwarz kupił mu łóżko; brakło mu pościeli — Szwarz kupił pościel; nie miał odzienia — Szwarz zaopatrzył go w odzienie; nie jadał — Szwarz dzielił z nim obiady. Znalazł się w zupełnie innych warunkach. Ogrzany, nakarmiony, w porządnym surducie, uczesany, umyty, ogolony, stał się zupełnie innym człowiekiem. Był to, jak mówiliśmy, niesłuchanie słaby charakter; zawsze stwarzały go warunki życia, zawsze był tylko wypadkową tych czynników. To też pod surową ręką Szwarca zmienił się do niepoznania, zaczął smakować w życiu porządnym a dostatnim. Jak dawniej nie wstydził się niczego, tak teraz zaczął się wstydzić wszystkiego, co nie pasowało z eleganckim ubiorem i rękawiczkami. Najtrudniej mu było odzwyczaić się od picia, ale nie miał zręczności zapadać w dawny nałóg, bo Szwarz pilnował go, jak oka w głowie, nie spuszczał go z oczu, natomiast kupował mu wódkę, ale nie dawał pieniędzy. Z jaką niecierpliwością oczekiwał Augustynowicz chwili, w której Szwarz otwierał szafę dla nalania mu kieliszka, trudno sobie wystawić. Ileż namarzył się w tej chwili, jak sobie wystawiał smak napoju, wprowadzenie go do ust, dotknięcie językiem, popchnięcie do gardła i wreszcie uroczyste wejście do żołądka! Zresztą Szwarz, by odebrać tym poczęstunkom upokarzający charakter, zwykle sam pił do niego.

Z biegiem czasu zaczął go lepiej traktować, zaczął go wcielać w rozliczne swoje i uniwersyteckie sprawy i wreszcie w swój sposób myślenia. Nie ma potrzeby mówić, że Augustynowicz przyswajał sobie to wszystko, jako swoją własność, że słowa Szwarca powtarzał, gdzie mógł, dodając zwykle z początku: „Ja sądzę, że” itd. Kto by go poznał? On, dla którego nie było nic nadto bezwstydne, teraz na zebraniach młodzieży, kiedy rozmowa brała trochę za wesoły kierunek, mawiał: „Panowie, tylko przyzwoitość przede wszystkim!” Śmieli się studenci, śmiał się sam Szwarz po cichu, ale dotychczas kontent był z własnego dzieła.

Nie potrzebujemy dodawać, że, chodząc z Augustynowiczem na jeden fakultet, uczył się z nim razem wieczorami. Wtedy miał sposobność ocenić w całej pełni jego zdolności; dla tego umysłu nie było rzeczy trudniejszych i łatwiejszych; jakaś szalona intuicja zastępowała tam rozmyśl, pamięć nie tyle trwała, ile obszerna, zastępowała pracę.

Częstym gościem Szwarca i Augustynowicza bywał Wasilkiewicz. Początkowo przychodził z Karwowskim, potem i sam bywał codziennie o swojej godzinie. Rozmowy jego ze Szwarzem, krążące koło najważniejszych pytań nauki i życia, stawały się coraz popularniejsze. Ci dwaj ludzie przeczuli się i jeden odgadywał w drugim potężny umysł i wolę. Stosunek, oparty na wzajemnym szacunku, zdawał się stałą zapowiadać przyszłość. Jeden i drugi pochwycili w ręce kierunek młodzieży uniwersyteckiej; inicjatywa ogólnych czynów wychodziła tylko od nich, a że byli zgodni, zgodnie się też działo i w uniwersytecie, koleżeństwo i nauka najwięcej na tym wygrywały.

— Powiedz mi też — pytał pewnego razu Szwarc — co mówią o moim postąpieniu z Augustynowiczem?

— Jedni cię uwielbiają, — odrzekł Wasilkiewicz — drudzy śmieją się. Byłem u jednego z twoich antagonistów w interesie naszej biblioteki; zastałem tam niemałe grono i mówiono właśnie o Augustynowiczu i o tobie... Ale, ale! czy wiesz, kto ciebie tam najgoręcej bronił?

— No kto?

— Zgadnij?

— Lolo Karwowski.

— Nie.

— Dalibóg, nie domyślam się.

— Gustaw.

— Gustaw?

— Aa! nagadał tam tym, co się wyśmiewali z ciebie tyle przyjemnych rzeczy, że zaręczam ci, iż nieprędko zapomną. Wiesz, jak on to umie! Myślałem, że ich lichy porwie.

— Tego bym się nie spodziewał!

— Ale bo go już dawno nie widziałeś... Ech! on też zagrzał w tę nieszczęsną miłość po uszy. A to tegi chłopiec... i żal mi go. Powiedz, ty się na tym znasz lepiej, bardzo on chory?

— O, nie dobrze z nim!

— Cóż to? Astma?

Szwarc kiwnął ręką.

— Astma... nadmierna praca... zgrzyzoty...

— Szkoda!

Nagle czyjeś kroki dały się słyszeć na schodach, drzwi się otworzyły — wszedł Gustaw.

Był zmieniony do niepoznania. Skóra na jego twarzy wybielała dziwnie, stała się przezroczystą. Z tej twarzy wiało jakieś zimno, jakby od trupa; żółtawy odcień świtał mu z czoła, które zdawało się być woskowym. Wargi miał białego koloru; zarósł, ciemne włosy, broda i wąsy rysowały się przy owej bladości prawie czarno. Wyglądał, jak człowiek, który przeżył długą chorobę, a na twarzy osiadła mu pewność siebie i rozpaczliwa jakaś rezygnacja.

Szwarc trochę zdziwiony, trochę zmieszany, nie wiedział od czego zacząć. Gustaw wyprowadził go z kłopotu.

— Szwarc! — mówił Gustaw — przychodzę do ciebie z prośbą. Niegdyś przyrzekłeś mi nie widywać Potkańskiej, cofnij to przyrzeczenie.

Szwarc wykrzywił twarz rodzajem przymusu. Nie w smak mu była rozmowa w tej materii; więc odpowiedział tylko:

— Nie zwykłem nie dotrzymywać słowa.

— Tak — odrzekł spokojnie Gustaw, — ale tu jest zupełnie co innego. Gdybym umarł np., przyrzeczenie nie obowiązywałoby ciebie, a ja, widzisz, jestem chory, bardzo mocno chory. Ona tymczasem potrzebuje opieki. Ja już nie mogę... nie mogę czuwać nad nią. Trzeba mi się położyć... odpocząć... jestem bo i zmęczony trochę. Zresztą, powiem ci całą prawdę: Ona ciebie kocha, a ty ją pewno także; ja stałem wam na zawadzie, ale teraz się usuwam. Z musu to robię i nie sprzedaję tego za poświęcenie... Kochałem ją bardzo i miałem trochę nadziei, że i ona będzie mnie kiedyś kochała... ale błędziłem (tu głos jego spadł o oktawę niżej). Nikt mnie nigdy nie kochał... Było mi bardzo smutno w życiu... Ale coź robić? W ostatnich czasach dużo przeszedłem, ale to się już skończyło! Dziś chodzi mi o to, żeby ona nie została sama. Gdybym się był umiał zdobyć na poświęcenie, byłbyś już dziś jej opiekunem... Szwarc! możesz to dla mnie zrobić... Ty masz energię i jesteś bogaty... i ona cię kocha, więc ty nie zakończysz tak, jak ja. O, mnie źle było na świecie... Ale mniejsza o to. Nie chciałbym jej wyrządzać krzywdy... Kocham ją jeszcze. Nie chciałbym, by przeze mnie pozostała sama na świecie. Czasem, widzisz nie powinno się ludziom niczego odmawiać... Idź, idź do niej! Mieszkaliśmy jednak razem... klepali jedną biedę, więc powinieneś to dla mnie zrobić; bo ja, powtarzam, jestem chory i nie wiem, czy ją lub ciebie więcej zobaczę.

Wasilkiewiczowi łza zakręciła się w oku, powstał i, zwróciwszy się do Szwarca, rzekł:

— Szwarc, powinieneś uczynić wszystko, o co cię Gustaw prosi.

Szwarc odrzekł stanowczo:

— Będę u niej, dam jej opiekę. Daję na to słowo uczciwości wam obu.

— Dziękuję! — rzekł Gustaw. — Idź tam teraz.

Za chwilę pozostał sam na sam z Wasilkiewiczem.

Litwin przez czas jakiś stał milczący, pasował się z własnym sercem; wreszcie odezwał się głosem serdecznego współczucia.

— Gustawie, biedny Gustawie, jak ty tam musisz cierpieć w tej chwili!

Gustaw nic nie odrzekł, wciągnął z sykiem powietrze w usta, zacisnął zęby, twarz zadrgała mu konwulsyjnie i nagle łkanie rozerwało mu piersi... siły opuściły go zupełnie.

*

W trzy dni potem Szwarc z Wasilkiewiczem siedzieli w mieszkaniu Gustawa. Wieczór był jasny; snopy księżycowego światła wpadały przez szyby do izby. Przy łożu chorego paliła się świeca. Chory był jeszcze przytomny. Piękna była niemal jego głowa, wyzółkła z nędzy, o wysokim czole, leżąca na wyniosłych poduszkach. Jedna wychudzona ręka spoczywała na kółdrze, drugą przyciskał sobie piersi.

Światło świecy rzucalo różowy blask na tego męczennika własnych uczuć. Przeciwległy kąt izby mroczył się cieniem. Gustaw był przytomny, zdawał Szwarzowi rachunki z opieki nad Potkańską. Od czasu do czasu odzywał się jeszcze, choć z trudnością, to do Szwarca, to do Wasilkiewicza, który, stojąc w głowach łożka, ocierał chustką gruby pot, występujący mu na czoło.

— Chciałem cię ostrzec — mówił Gustaw. — Przysyłają jej dwa tysiące złotych rocznie, a tam trzeba pięć do sześciu... Resztę ja zarabiałem... Odsuńcie świecę i zwilżcie mi usta... pracowałem... odejmowałem sobie od ust, nie dosypiałem... Po dwa dni czasem nic w ustach nie miewałem... Podnieście mnie trochę i oprzeć wyżej... Nie mogę mówić... Jest tam jeszcze dla niej trzydzieści rubli w tej skrzynce... Ciemno mi... Niech odpocznę...

Cicho było w izbie; tylko mysz w drugim kącie szeleściła kawałkiem papieru... Śmierć zstępowała.

— Chciałbym skończyć naszą pracę — mówił dalej Gustaw. — Powiedzcie im, niech się nie kłóć... Zimno mnie ogarnia... Ciekawym, czy też jest jakie niebo lub piekło!... Nie modliłem się nigdy... ale...

Wasilkiewicz pochylił się ku niemu i spytał cicho:

— Gustawie, ty wierzysz w nieśmiertelność?

Chory już nie mógł mówić, kiwnął głową na znak potwierdzenia.

Wtedy zdawało się, że w izbie rozległy się ciche tony czarownej muzyki. Po smugach księżycowego światła zsunął się z niebios rój aniołów; pełno ich było: jedne białe, drugie miały skrzydła złote lub kolorowe. Chodziły cicho, pochylały się nad łożem, trącały skrzydełkami, kręciły się jako pszczołki brzęczące... Słyszać było szelest ich piór.

Razem z tą cichą kapelą uleciał duch Gustawa.

Pogrzeb odbywał się z wielką uroczystością. Cały skład uniwersytetu asystował przy trumnie. Wtedy dopiero zaczęto mówić o gruntownej nauce, pracy i poświęceniach zmarłego. Rzeczywiście, pokazało się z rachunków, które rozejrzał Szwarc, że nieboszczyk zarabiał około czterech tysięcy złotych rocznie. To wszystko szło na wdowę, sam żył jak pies. To dobrowolne a ciche bohaterstwo długą mu zjednało pamiętkę w sercach młodzieży. Poodkrywano przy tym rozmaite prace zmarłego, odznaczające się gruntowną nauką, a nawet i talentem; znalazł się także jego pamiętnik. Było to wypowiedzenie w prostych, a nawet szorstkich słowach, wszystkich ciemnych stron życia w nędzy, rodzaj apologii namiętnych porywów młodości, tych cierpień urojonych, a jednak rzeczywistych, walk, bólów, burz wewnętrznych i rozhovorów. Życie wewnętrzne egzaltowanych natur odsłoniło się tam w całej ponurej uroczystości. Strach było spojrzeć w ten zamęt, którego nie znać w codziennym życiu, na tym „tak diabelsko wyzłoconym świecie”, jak mówi poetka. Pamiętnik czytano u Wasilkiewicza; była nawet myśl drukowania go, ale to jakoś nie przyszło do skutku. Augustynowicz za to napisał wspomnienie pośmiertne o Gustawie. Bardzo wymownie przedstawił jego życie. Pokazał go od lat dziecińczych, kiedy to bywał

jeszcze szczęśliwy. Urok opisu tych wiosennych chwil życia był tak wielki, iż zdawało się, że majowe słońce przyświecało piszącemu. Potem obraz spochmurniał: widać było, jak nieboszczyk porzucił rodzinną chatę, jak pies, stary sługa, biegł za nim, wyjąc... Potem było jeszcze ciemniej: życie zaczęło nim potrącać, rzucać, kołysać i targać. Znów błysnął promień... Niby na obłoku w obrączce tęczowej pojawiła mu się wdowa... wyciągnął ręce do tego światła. „Resztę wiecie — pisał Augustynowicz. — Niech teraz śpi, śniąc o niej. Skowronek polny będzie mu śpiewał nad mogiłą jej imię... Niech śpi spokojnie... Ogień zagasły, czara rozbita — oto Gustaw!”

Ale zwykle tak się dzieje, że dużo gadają po śmierci o człowieku, którego za życia ledwie że nie popychano. Damy więc pokój Gustawowi, a będziemy śledzili dalsze losy naszych znajomych, a w szczególności bohatera niniejszej księgi, Szwarca.

U Szwarca nic się nie zmieniło, tylko on sam, od czasu pierwszej bytności u wdowy chodził jakiś zamyślony i milczący. Augustynowicz coraz więcej przyzwyczajał się do nowego położenia. U generała tupano, jak dawniej; u inżyniera bębiono w fortepian, jak dawniej; hrabianka wyśpiewywała wieczorami, jak dawniej. Mieszkanie Gustawa zajął szewc z dwojgiem skrofulicznych dzieci, z żoną i z biedą trzecią; tam, gdzie krążyły myśli tej szlachetnej głowy i padały gorące słowa, teraz skrzypiały dratwy i pociegle. Potkańska nie dowiedziała się nawet zrazu o śmierci Gustawa; Szwarz to utaił, obawiając się zbyt silnego na nią wrażenia. Później ze zdziwieniem przekonał się, że wieść tę przyjęła wprawdzie ze smutkiem, ale bez rozpacz. Dużo mamy do opowiadania o tych nowych stosunkach; w następnym tedy rozdziale wprost już do nich przejdziemy.

VII

Szwarc, wedle przyrzeczenia, danego Gustawowi, był u Heleny i za drugą już u niej bytnością wyszedł rozkochany. Wracał późną nocą; na niebie skrzyły się gwiazdy; była pogoda; od Dniepru dolatywał chłodny, ale rześwy powiew wody. Lekkie opary mgły wiły się długim pasmem na wschodzie. Muzyka była w powietrzu i muzyka w piersi Szwarca. Kochał! Zdawało mu się, iż noc jasna obchodzi jego zaślubiny ze szczęściem. Pełne szczęście jest razem wspomnieniem i nadzieją. Szwarz czuł jeszcze w dłoniach drobne ręce Heleny — tę chwilę wspominał, myślał o jutrzejszych pieszczotach — tej chwili spodziewał się. Dziwna rzecz! Ona go pożegnała słowem: „Pamiętaj!” a któż by mógł zapomnieć o szczęściu, zwłaszcza kiedy się do niego przyszłość uśmiecha.

Kochał! Uciśnięty siłą i urokiem nocy, drżeniem gwiazd i majestatem ciemnych przestrzeni, rzucił wzrok pełny ognia w najdalsze krańce niebieskich samotni i drżącymi ustami wyszeptał:

— Jeśliś jest, to jesteś wielki i dobry!

Mimo warunku, postawionego przed tym wykrzyknikiem, jak na Szwarca, było to bardzo wiele. Przyznawał wielkość i dobroć. Mówił „jeśliś jest”, słowa te o kimś byłyby warunkiem, do kogoś — znaczyły potwierdzenie istnienia.

Szwarc mówił: „Jesteś”.

Mimo całego jego realizmu, nie dziwny się tak bardzo tym słowom. Usta, które je wymawiały, świeżo piły z czary uniesienia.

Gdy Szwarz wrócił do domu, Augustynowicz spał w najlepsze; chrapanie jego słychać było już na schodach. Wyciągał piosenkę snu, to krótko, to długo, to ciszej, to głośniej, to sapiąc, to dmuchając, to gwizdząc.

Szwarc zbudził go.

Postanowił koniecznie go uściskać.

Augustynowicz wytrzeszczył nań zdziwione oczy i w pierwszej chwili zawołał:

— Idź-że do...

Szwarc roześmiał się wesoło.

— Dobranoc! — rzekł mu Augustynowicz — powiem ci jutro, skąd wracasz, dziś spać mi się chce, dobranoc.

Nazajutrz była niedziela. Rankiem Szwarz nalewał herbatę, Augustynowicz leżał jeszcze na łóżku i, patrząc w sufit, palił fajkę. Obaj myśleli o dniu wczorajszym.

Wreszcie Augustynowicz odezwał się pierwszy:

— Wiesz, Szwarz, co mi przyszło do głowy?

— Nie wiem.

— To ci powiem: że nie warto życia wiązać z pierwszą lepszą kobietą, jak Jowiszowi dobrze życzę, nie warto! Są jednak rzeczy lepsze na świecie.

— Skądże ci te myśli?

— Prosto z fajki. Człowiek tak się zwiąże, tak się zrośnie z jedną myślą, a potem przyjdzie lada przeszkoda i ot, z tych pałaców tyle się zostanie, co z tego dymu, który puszczam w tej chwili.

Ogromny kłąb dymu podniósł się w górę z ust Augustynowicza i, uderzywszy o pułap, rozproszył się na wszystkie strony.

Rozmowa urwała się na chwilę.

— Szwarz, czyś ty się już kochał przed poznaniem Gustawa i Potkańskiej?

— Czym się k-o-o-chał? — ciągnął Szwarz, przypatrując się pod światło szklance.

— Co?... a, czym się kochał?... Tak, zwracałem sobie czasem głowę, nie wytrącało mnie to jednak ze zwykłych warunków życia, nie odwodziło od porządku dziennego. Powiem otwarcie, nie kochałem się.

Augustynowicz podniósł cybuch z fajką w górę i uroczyście zadeklamował:

Kobieto! puchu marny! ty wietrzna istoto!

Szwarc się uśmiechnął:

— Alboż co?

— Nic, to moje wspomnienia. E, ze mną bywało inaczej, szalałem parę razy jak wariat. Raz nawet, mimo biedy, próbowałem być porządnym człowiekiem, trudno było, ale próbowałem.

— A skończyło się?

— Prozaicznie. Dawałem lekcje u jednego właściciela domu. Było tam dwoje dzieci: małaletni syn i dorosła córka; syna uczyłem, a córkę kochałem. Otóż pewnego wieczoru lży mi stanęły w oczach i powiedziałem jej to, ona zmieszała się trochę, a potem się roześmiała. Nie uwierzysz Szwarz, co to był za brzydki śmiech! bo widziała, ile to mnie kosztuje, a sama mnie ciągnęła poprzednio. Na koniec poszła do mamy na skargę.

— A mama?

— Mama powiedziała mi: po pierwsze, żem szubrawiec, na co jej się ukloniłem; po drugie, żebym sobie poszedł; a po trzecie, cisnęła mi na ziemię pięć rubli, które podniosłem, bo mi się należały, i upiłem się za nie tego dnia wieczorem i na drugi dzień rano.

— A potem?

— Potem drugiego dnia wieczór i na trzeci rano.

— I tak już ciągle?

— Nie. Czwartego dnia wyplakałem się ogromnie, a jeszcze potem, gdym się już trochę uleczył — to jest z miłości, nie z pijaństwa — próbowałem się zakochać w pierwszej lepszej, ale już nie mogłem, daję ci na to słowo uczciwości, mój panie!

— I nie masz już nadziei na przyszłość?

Augustynowicz zamyślił się trochę i odpowiedział:

— Nie. Nie szanuję już kobiet. Ile dawniej wierzyłem w nie, ilem je czcił i kochał, jako największą nagrodę pracy i mozołów, tyle dziś... lubię je... rozumiesz? To wyłącza miłość.

— Ale i szczęście.

— Ani słowa: przeto dziś gwizdzę, kiedy mi się chce płakać i dlatego zazdroszczę ci.

Szwarc spojrział bystro na Augustynowicza.

— Czego?

— Twego stosunku z Heleną. Nie marszcz się i nie dziw, że ja te rzeczy znam tak dobrze... Ho, ho! mamy my trochę doświadczenia! Zresztą, powiem ci, ja sam chciałem się zakochać w Potkańskiej... Ja wolę takie kobiety, niż inne... Choć z drugiej strony... E, kiedy nie wiem, czy się nie będziesz gniewał?

— Mów.

— Bałem się zakochać w Potkańskiej. Ani słowa: nieszczęśliwa kobieta, ale na brodę proroka, cóż mnie to obchodzi? Wiem tylko, że testamentem przechodzi z rąk do rąk, że

kto tylko zbliży się do niej, zaraz otrzymuje wiekuiastą szczęśliwość... brr! na honor, nie chciałbym być testatorem takiego stypendium, choćby dla przyjaciela.

Szwarc postawił na stole szklankę niedopitej herbaty i, zwróciwszy się do Augustynowicza, rzekł zimno:

— Tak, ale ponieważ ja jestem egzekutorem testamentu, bądź łaskaw mówić o zapisie z większym szacunkiem.

— Dobrze, powiem ci zupełnie serio już nie o tym, kim lub czym jest Potkańska, ale co ty powinieneś zrobić. Mówię bez interesu, nawet na szkodę własną. Rzecz jest taka — Augustynowicz usiadł na łóżku. — Znam ciebie, znam ją, ona ci sama rzuca się w ramiona. Inicjatywa ze strony kobiety... ho! to się na nic nie zdało! Miłość to trzeba zdobyć. Za miesiąc znudzisz się, zmęczysz i ciśniesz ją do diabła... Szwarc! ja ci dobrze życzę, żeń ty się z Heleną, póki czas...

Szwarc zmarszczył brwi więcej, niż poprzednio, i odrzekł krótko:

— Zrobię, jak uznam za stosowne.

A rzeczywiście, to małe słówko „ożenić się” nie przyszło mu jeszcze do głowy. Całując ręce Potkańskiej, nie pomyślał o konsekwencji pocałunków. Gniewał się na siebie i na to szczególnie, że ktoś przypominał mu obowiązki sumienia. Dzień, dwa, później niezawodnie samby sobie przypominał. Upominanie z cudzej strony odbierało tej myśli urok samodzielnego, płynącego z miłości, czynu, robiło ją przymusem.

Wieczorem tegoż dnia Augustynowicz spotkał Wasilkiewicza.

— Wiesz, że Szwarc bywa już u Potkańskiej?

— Cóż tedy?

— Kobieta rozkochana w nim szalenie. Domyśl się, co z tego wyniknie, osądź, co Szwarc powinien zrobić?

Wasilkiewicz odparł ze zwykłą rezolucją:

— Kochać ją także.

— Tak, a dalej?

— Dalej niech sobie sami radzą.

Augustynowicz machnął ręką niecierpliwie.

— Jeszcze jedno pytanie: jakbyś ty skończył z Potkańską?

— Gdybym ją kochał?

— Tak.

— Ożeniłbym się bez namysłu.

Augustynowicz zatrzymał go i, z ręką na sercu, począł mówić tonem głębokiego przekonania:

— Widzisz, ja Szwarzowi wiele jestem winien, a zresztą sam to wiesz najlepiej, chciałbym tedy szczerze odplącić mu się — tak, odplącić radą. On jest w dziwnym położeniu... a jednak, rozumiesz, są pewne prawa uczciwości, których nie można łamać. Nie chciałbym, aby ktoś kiedyś Szwarzowi mógł powiedzieć: „Postąpiłeś nieuczciwie”. Mówię otwarcie: nie chciałbym, a ty możesz tu dużo zrobić, ty masz wpływ na niego.

Lecz Wasilkiewicz zamiast dać się przekonać, rozgniewał się.

— A ty co się w nieswoje rzeczy wtrącasz? Zostawić mu wolę, toż niedawno, jak u niej bywa. Ej, Augustynowicz, albo ty to z serca robisz? Jeśli ciebie Helena co obchodzi, to niech mnie... ale to twoje wścibstwo, ty lubisz pozować i prawić piękne słówka. Nie graj komedii! Poświęcasz się niby, tracąc mieszkanie przez ożenie Szwarca, ale to tylko lekkomyślność. Ty sam już nie wiesz, kiedy się oszukujesz! O Szwarca się nie bój, żebyś ty był taki, nie trzeba by więcej. Co tobie do tego! Ty za grosz nie masz taktu.

— Schowaj te nauki dla siebie. Więc nie wdajesz się między nich?

— Gdyby ten nieokreślony stosunek trwać miał długo, ja pierwszy będę się starał namówić, a nareszcie zmusić Szwarca do ożenienia się z nią; ale dziś wtrącać się między nich — to głupstwo.

Augustynowicz wrócił wielce skonfundowany; poczucie prawdy jednak powiedziało mu, że litwin ma rację i że z jego strony było to istotnie wścibstwo i chęć pozowania, nic więcej.

VIII

Ale upłynęło parę miesięcy, skończyła się zima, przeszła wiosna, nastalo lato, a owe stonki nie zmieniły się. Kochał Szwarz Helenę, ona jego i płynęło im życie we wzajemnej na przyszłość niepamięci. Był jednak cień między nimi, cień rzucony przez wypadek. Pewnego dnia letniego Potkańska zawiązała pod brodę wstążki niebieskiego kapelusika i, okrywszy ramiona płaszczkiem, uczepiła się ręki Szwarca — poszli oboje na spacer.

Słońce świeciło, było trochę kurzu w powietrzu, a upał dawał się czuć na wszystkich twarzach, choć było koło szóstej po południu. Mnóstwo osób wychodziło na miasto, wielu znajomych Szwarca witało go przyjaznym skinieniem głowy, niektórzy, a nawet i obcy, oglądali się za naszą parą. Rzeczywiście, piękna to była para. Szwarz wyrósł, zmężniał; brodę i boki twarzy okrywał już wspaniały rudawy zarost, a twarz sama nosiła wyraz poważny z pewnym odcieniem dumy. Potkańska wyglądała zupełnie na młodą narzeczoną; wiatr rozwiewał niebieskie wstążki jej kapelusika, bawił się z białą suknią i, unosząc okrycie, ukazywał wysmukłą jej figurkę. Z wdziękiem oparta o ramię Szwarca, cieszyła się i nim i słońcem, i powietrzem, jakoby drugi raz na świat zrodzona. Szwarz więcej na nią patrzył, niż na otaczających. Nie podejmujemy się powtarzać ich rozmowy, owego szczebiotu zakochanych, bez znaczenia dla innych, pełnego wdzięku dla nich. Były jednak i poważniejsze rozmowy. Potkańska, na przykład, prosiła Szwarca, żeby ją zaprowadził na grób męża.

— Latem, widzisz — mówiła — i na cmentarzu mnóstwo cienia, a nie byłam tak dawno; nie mogę go jednak zapomnieć. Ty mi go zastępujesz, Józefie, ale pozwól mi się i za niego pomodlić czasem.

Szwarcowi było wszystko jedno dlaczego i za kogo się Helena modliła; odrzekł więc z uśmiechem pełnym pobożania:

— Dobrze, Heleno, pamiętaj o swoich zmarłych, tylko kochaj żywych — dodał, pochylając głowę ku jej twarzy.

Lekkie przyciśnięcie do piersi ramienia Szwarca było odpowiedzią ze strony Heleny.

Spojrzała mu w oczy, potem zarumieniła się, jak dziewczynka.

Szwarc ze swej strony nakrył dłonią, małą, wspierającą się na jego ramieniu rękę i... był zupełnie szczęśliwy.

Poszli na cmentarz. Po drodze spotkali Augustynowicza; siedł, paląc cygaro obok dwóch dam, z których jedna była matką, druga córką. Augustynowicz prowadził córkę pod rękę; matka podążała z boku trochę: przeszkadzała jej otyłość, trochę pośpiech, a na koniec i gorąco. Augustynowicz widocznie był wymowny, bo panna zatrzymywała się chwilami od śmiechu. Przechodząc koło Szwarca, przymrużył jedno oko, co miało znaczyć, że w tej chwili kontent jest ze świata i porządku ziemskiego.

Szwarc pytał Heleny o Augustynowicza.

— Znam go, choć nie wiem, jak się nazywa; gdy zmarł Kazimierz, widywałam go blisko siebie, potem jakoś mi znikł z oczu.

— Jest to najzdolniejszy urwis, jakiego znam — dorzucił Szwarz. — Ale, mówił mi, że kochał się w mojej pani.

— A ty dlaczego mi to mówisz?

— Bez celu; dziwna rzecz jednak, jak wszyscy lgną do ciebie.

— Bo też, mój drogi Józefie, to jedno przyniosłam z sobą na świat. Nie uwierzysz, jak smutno płynęły mi lata dzieciństwa. Nie znasz mojej historii? Chowałam się w domu zamożnym... gdzie pan domu opiekował się mną, jak własnym dzieckiem... Po jego śmierci dokuczano mi tam wszelkimi niegrzecznościami, aż na koniec uciekłam stamtąd i wyjechałam do Kijowa, gdzie jeden bardzo stary i bardzo dobry człowiek wziął mnie w opiekę, mówił mi zawsze Helusiu i pieścił jak córkę rodzoną. Ale potem i on umarł, nie zostawiwszy mi sposobu do życia... Potem poznałam Kazimierza. Zdziwisz się, skąd ja mogłam być w klubach studenckich? Wierz mi, o mało nie umarłam ze wstydu, kiedy tam pierwszy raz weszłam; ale czy uwierzysz? byłam wtedy głodna, parę dni nic już w ustach nie miałam — byłam zziębnięta. Sama nie wiedziałam, co robię i do czego to prowadzi. Wtedy zbliżył się do mnie Kazimierz. Och, nie podobał mi się wówczas: śmiał się i był wesoły, a mnie ciemniało w oczach. Spytał na koniec, czy nie chcę pójść z nim. Odrzekłam: „tak”. Po drodze owinął mnie w ciepłe futro, bo drżałam z zimna i na koniec

przyprowadził mnie do swego mieszkania. Tu dopiero, gdy ciepło powróciło mi przytomność, spostrzegłam, gdzie jestem i rozplakałam się z osławienia i ze wstydu zarazem, bo widzisz, byłam sama jedna w mieszkaniu mężczyzny. Byłam w jego mocy. Zdawał się być zdziwiony mymi łzami, potem zamilkł i usiadł koło mnie, a kiedy znowu na niego spojrzała, miał łzy w oczach i natychmiast stał się zupełnie inny. Pocałował mnie w rękę i prosił, żebym się uspokoiła. Musiałam mu opowiedzieć wszystko, wszystko. Przyrzekł, że będzie pamiętał o mnie, jak o siostrze... Jaki był dobry, prawda? Od chwili jego poznania, nie zaznałam już niedostatku. Gdy odchodził, pocałował mnie znowu w rękę, ja chciałam toż samo uczynić: serce mi się ścisnęło, przycisnęłam rękoma piersi i szczerze zapłakałam. Ach, jakżem go już wtedy kochała, jakżem go kochała!

Helena podniosła oczy w górę; w tych oczach błyszczały wielkie łzy wdzięczności. Była piękna, jak natchniona. Szwarz jednak miał wyraz surowy, brwi zsunęły mu się na czoło. Myśl, że czemuś wypadkowi, marnemu podobieństwu winien był miłość tej kobiety, posępnym cieniem okryła mu twarz. Potkański inną drogą doszedł do niej. Porównanie to bolało Szwarca; przypomniał sobie słowa Augustynowicza i milczący prowadził dalej Helenę.

Przyszli na cmentarz. Wśród drzew białeły tam krzyże, kamienie i mogiłki. Miasto zmarłych w cieniu zielonych liści spało w cichej powadze. Kilka osób błądziło wśród krzyżów, między gałązkami odezwał się niekiedy ptak na wpeł smutno, choć wdzięcznie. Gdzieniedzie przesunęła się postać cmentarnego stróża.

Helena wkrótce znalazła grób Potkańskiego. Była to duża, obwiedziona żelazną kratą mogiła, u której stóp wznosił się mały, porosły murawą, pagóreczek. Leżał tam Potkański z dzieckiem Heleny. Kilka doniczek z kwiatami zdobiło groby, po bokach rosła rezedra; w ogóle mogiłki czyste, a nawet ozdobnie utrzymane, świadczyły o czyjejś starownej ręce.

Szwarc zawołał stróża, aby otworzył kratę; Helena uklękła tam z modlitwą w ustach i łzami w oczach.

— Kto utrzymuje te groby? — spytał Szwarz stróża cmentarnego.

— Przychodziła ta pani, przychodził i pan jakiś z długimi włosami, ale teraz to go i nie widać — mówił stróż. — On zawsze płacił za kwiaty, on też kazał tu dać kratę.

— Ten pan także już tu mieszka; rok temu, jak go pochowali — odpowiedział Szwarz. Stróż kiwnął głową, jakby chciał powiedzieć: „I ty tu zamieszkaś”.

— Albo to co, proszę pana? W tamtym mieście kłopoty i umartwienia, a tu jak kto przyjedzie, to i leży spokojnie. Ja sobie nieraz myślę: coby ta Panu Bogu przyszło mizerować jeszcze duszę na tamtym świecie. Mało to człek tu ucierpi!

Po chwili Helena skończyła modlić się, Szwarz znowu podał jej rękę. Szwarz był milczący, widocznie ciążyło mu coś na sercu; chcący czy niechcący powiodł Helenę inną, niż poprzednio, drogą. Nagle, blisko już bramy, wskazał ręką jedną z mogił i rzekł zimnym jakimś głosem:

— Patrz, Heleno, oto ten człowiek kochał cię za życia więcej, niż Potkański, a jednak ani wspomniałaś o nim.

Dzień pochylał się już cokolwiek; Helena rzuciła okiem na przedmiot, który ukazywał jej Szwarz. Na mogile stał czarny, drewniany krzyż, a na nim białą farbą były napisane słowa:

„Gustaw... zmarły dn... r...”

Promienie wieczorne malowały niby na krwawo litery napisu.

— Chodźmy stąd... ciemno się robi — szepnęła Helena, tuląc głowę do ramienia Szwarca.

Gdy wchodzili do miasta, mrok już zaczynał się na dobre, ale zabierało się na noc pogodną. Księżyc wielki, czerwonego koloru, wytoczył się zza Dniepru. W gęstych alejach Żandarmskiego ogrodu, tu i owdzie słychać było czyjeś kroki; z jednego okna, otwartego w przyległym pawilonie, słychać było tony fortepianu; jakiś młodzieńki głosik śpiewał pieśń Szuberta; tony drgały w ciepłym powietrzu — daleko, daleko na stepie odezwała się trąbka pocztarska.

— Śliczna noc — mówiła z cicha Helena. — Dlaczegoś smutny jakiś, Józefie?

— Siądźmy trochę — rzekł Szwarz — zmęczony jestem.

Siedli i, oparli się o ramiona, zadumali się trochę oboje. Nagle z zadumy wyrwał ich jakiś młody, dźwięczny głos; głos ten mówił:

— Słusznie, Karolu! Największym szczęściem jest czysta miłość kobiety, jeśli jest echem głosu prawdziwie męskiej duszy.

Dwaj młodzi ludzie, trzymając się pod rękę, przechodzili z wolna koło ławki, na której siedzieli Szwarc z Heleną.

— Dobry wieczór! — odezwali się obaj, uchyliwszy kapeluszy.

Byli to Wasilkiewicz i Karol Karwowski.

Szwarc, rozstając się z Potkańską, długo trzymał jej rękę przy ustach i cały wzburzony poszedł późno do domu.

IX

Na drugi dzień jednak Szwarc, wypawszy się doskonale, był już zupełnie spokojny, śmiał się nawet z dnia poprzedzającego i z własnych obaw i niepokojów.

— Dużo się gada pięknych frazesów — myślał sobie — lecz rzeczywistość? Głupiec tylko odpycha od siebie szczęście. Gustaw najlepszym tego dowodem, co znaczy jednostronne, choćby najsilniejsze, choćby najbardziej męskie uczucie. To się życiem płaci, a ja mało jestem przydatny do tragedii. Zresztą, kocham Helenę, a ona mnie. Co komu do tego? Augustynowicz, wstawaj-no urwisie! mów, co za szatan stujęczyczny zawracał wczoraj przez ciebie głowę jakiejś orzechowej parasolce, co?

— Widziałeś jej oblicze? — pytał Augustynowicz, zmuszając się do westchnienia.

— Widziałem i, na Jowisza, podobne do świeżo wyrwanej rzodkiewki, matka, wyglądająca, jak dziezka kwaśnego mleka. Cóż, zakochałeś się, mój stary?

— Daj pokój, to bardzo bogate kobiety.

— Obie? Ileż ma córka?

— Kto by tam zliczył taką sumę, a jeszcze będzie bogatsza.

— Bogatsza? o męża i dzieci?

— Nie, ale matka przyjechała w sprawie procesowej, a czy wiesz, kogo procesuje? Naszego sąsiada hrabiego, winien jej kilka tysięcy złotych.

— Skądże to wiesz wszystko? Dawno ją znasz?

— Od wczoraj dopiero. Poznałem ją przypadkiem: pytały mnie o drogę, dokąd?... nie uważałem, na honor, ale powiedziałem, że czas jest bardzo piękny, i spytałem, czy nie zechcą iść ze mną na spacer. Staruszka gadatliwa wielce; natychmiast dowiedziałem się, kto są i po co przyjechały. Pytała się, czy nie znam hrabiego? odrzekłem, że bywam tam codziennie i że wpłynę na starego, by jej wrócił, co winien. Powiedziałem także, że jestem doktorem medycyny, teologii i wielu innych nauk i sztuk; że mam ogromną praktykę w Kijowie. Wtedy matka zaczęła mi do ucha opowiadać dolegliwości swoje i córki. Powiedziałem, że będę u nich i zbadam rzecz na gruncie.

— Naturalnie. Cóż córka na to?

— Wywiesiła na obliczu czerwoną flagę... ale matka zgromiła ją za to, wezwwała Wszystkich Świętych i zapewniła mi ich ogólne poparcie w chwili strasznego sądu. Wiesz, com wygrał!

— Naiwny jesteś...

— Będę dziś u nich.

— U Świętych Pańskich?

— Nie, u moich nowych znajomych. Poradzę im, żeby obie za mąż poszły.

— Młodsza za ciebie?

— Cóż chcesz, mój drogi! człowiek się starzeje; zresztą, myślę, że i ciebie powitamy niedługo kosmatą dłonią?

— Prosiłem cię, żebyś się nie wdawał pomiędzy mnie i Helenę.

— Dobrze. Powiem tylko, że jest prześliczna!

— Ba! — odparł Szwarc ze źle ukrywanym zadowoleniem.

W tej chwili wszedł Wasilkiewicz.

— Na chwilę wpadam — rzekł — Karol czeka mnie na dole; jedziemy razem na wieś. Szwarc, mam do ciebie interes. Krótko! nie chciałem się mieszać w twoje stosunki

miłosne, mimo próśb Augustynowicza, ale to się już ciągnie za długo. Powiedz, co myślisz zrobić z Potkańską?

Szwarc cisnął gwałtownie w kąt pokoju cybuch, który trzymał w ręku, po czym siadł i spojrzął Wasilkiewiczowi w oczy.

— Pytanie za pytanie — rzekł. — Powiedz, co ci do tego?

Wasilkiewicz zmarszczył się, nasrożył, ale odrzekł spokojnie:

— Pytam, jak kolega kolegi. Helena nie należy do rzędu tych kobiet, które się kocha dziś, a nie kocha jutro. Zresztą, przez pamięć na Potkańskiego, każdy z jego kolegów ma prawo żądać odpowiedzi na podobne pytanie.

Szwarc wstał, w oczach błyskały światelka gniewu.

— A jeśli ja nie dam odpowiedzi, to co? — zawołał. — Kto ma prawa do Heleny? kto śmie mieszać się między mnie i nią?

Teraz z kolei wybuchnął Wasilkiewicz.

— To ty myślałeś, ptaszku, że my ci pozwolimy czumanić biedną kobietę i nie spytamy, dokąd to prowadzi? Niech cię szatan porwie! Musisz przed nami odpowiadać za honor wdowy Potkańskiego, i nie ja jeden będę się o to upominał!

Stali czas jakiś naprzeciw siebie z groźbą na czole, jakby chcąc wypróbować się wzajemnie.

Wreszcie Szwarc, lubo drżący z gniewu, pierwszy zapanował nad sobą i zaczął mówić:

— Słuchaj-no, Wasilkiewicz! Gdyby mi kto inny to zrobił, wyrzuciłbym go za drzwi. Nie należę do tych, co pozwalają sobą rządzić, i nie rozumiem, dlaczego mieszacie się w nieswoje rzeczy. W każdym razie obraża mnie to. Odpowiadam więc tobie i wszystkim, co się o honor Heleny chcą upominać: że z tego honoru tylko przed sobą będę zdawał sprawę, że nie pozwolę nikomu mieszać się w moje postęпки, i że ty i twoi, robicie wielkie, niczym niewytłumaczone, brutalne i szkodliwe dla Potkańskiej głupstwo, ujmując się za nią. Skończyłem i wychodzę, zostawiając ci czas do rozważki nad tym, co zrobiłeś.

Wasilkiewicz został z Augustynowiczem.

— Cóż? zmył ci głowę? — pytał ten ostatni.

— A zmył.

— He? powiadasz tedy, że ci zmył głowę?

— Zmył.

— Głupstwo zrobił, z nim trzeba było łagodnością, to twarda sztuka!

Szwarc udał się wprost do Heleny. Był do najwyższego stopnia rozdrażniony; nie umiał sobie wytłumaczyć postęпку Wasilkiewicza, czuł jednak, że owa trzecia osoba, wdająca się między niego i Helenę, oddała ich tylko zamiast przybliżyć.

Gdy wszedł do Heleny, drzwi od jej pokoju zastał zamknięte; służąca nie umiała mu powiedzieć, co pani robi. Uchylił drzwi, Helena spała, oparta o poręcz wielkiego fotela. Szwarc stanął we drzwiach i patrzył na nią z dziwnym wyrazem twarzy. Nie przebudziła się, kragła jej pierś podnosiła się i opadała lekkim, miarowym ruchem. Nie masz nic bardziej miękkiego, jak łagodny ruch piersi kobiecej. Oparwszy na niej głowę, można ukłosać się i usnąć, jak w kolebce lub w łodzi, trącanej falą. Każdy pamięta, jak tak usypiał na piersi matczynej. Tajemnicze królestwo snu zdradza się w kobiecie tym ruchem tylko, który można by nazwać błogosławionym, tak wiele warunków ludzkiego szczęścia fałuje z nim razem w krainach spokoju. Ruch skrzydeł anielskich musi być do niego podobny. Usypia wszystko, zaczawszy od płaczu dziecięcia, do dumnych myśli mędrca. Głowa mędrca, śpiąca na piersiach kobiety, to największy tryumf miłości. Szwarzowi musiały podobne myśli chodzić po głowie, bo, patrząc na śpiącą Helenę, łagodniał ciągle, niby noc, przechodząca w poranek; pochylił się ku niej i ustami dotknął lekko jej ręki. Helena drgnęła i, otworzywszy szeroko oczy, uśmiechnęła się jak dziecko, które ze snu budzi aksamitny pocałunek matki. Szwarc po raz pierwszy przychodził z pieśczęcią tak miękką i delikatną, zwykle bywał jeśli nie surowy, to poważny; ale dziś przykre wrażenia kłótni z Wasilkiewiczem przychodził zatrzeć i zapomnieć u jej nóg. Cudowna potęga kobiety, pod której wpływem mętny osad duszy opada na dno niepamięci, ogarniała go z wolna. Znadto jednak był wzburzony, by mu przez słowa nie miała się precyzyjnie część goryczy, którą czuł przed chwilą.

Podniósł głowę i spojrzął w oczy Potkańskiej, potem począł mówić:

— Heleno, zdaje mi się, że cię bardzo głęboko kocham, ale głupota ludzka drażni moją miłość własną, wyzywa mnie. Chciałbym w tobie samej znaleźć w niej siłę. Ufaj mi Heleno, Kochaj mnie!

— Nie rozumiem ciebie, mój Józefie?

Szwarc, ująwszy rękę Heleny, mówił łagodnie:

— A jednak powinnaś mnie rozumieć. Pochlebiam sobie, że nie ustąpię Potkańskiemu w miłości dla ciebie, ni w pracy o twoje szczęście. Ale jest między nami różnica. On, syn magnata, mógł od razu podać ci rękę, otoczyć cię dostatkiem; jam syn rzemieślnika, ja długo muszę jeszcze pracować na twoje i własne szczęście. Nie opuszczę ciebie teraz, ale nie chcę, żebyś jako żona moja zetknęła się z zimną rzeczywistością ubóstwa, od którego cię tamten odzwyczaił. Do tego jednak potrzeba mi miłości twej i zaufania. Mów, Heleno...

Helena nic nie odrzekała, ale zbliżyła się do Józefa i, położywszy mu głowę na piersiach, podniosła nań oczy pełne dziecinnej ufności.

— Oto moja odpowiedź, Helenko moja dobra — rzekł Szwarc i długim pocałunkiem połączył jej usta ze swoimi.

— Może to egoizm z mojej strony, ale przebac mi go — mówił dalej. — Nie zdobyłem ciebie zasługą, ani cierpieniem, nie uczyniłem dla ciebie nic zgoła. Widmo bogactw, jakimi cię otaczał Potkański z jednej, poświęcenia Gustawa z drugiej strony stawałyby zawsze między nami. Pozwól mi zasłużyć na ciebie, Heleno, mam dość siły i energii, nie zawiodę ciebie.

Szwarcowi może zdawało się, że szczerze mówi, o ile jednak w słowach jego brała udział obrażona miłość własna, łatwo się każdy domyśli, rzuciwszy okiem na warunki, w jakich żyła dotychczas Helena. Gdyby Szwarc prosił o jej rękę natychmiast, warunki te zmieniłyby się bardzo niewiele, a z pewnością nie na gorsze, bo w takim razie, dzieląc z nią mieszkanie, pozbyłby się Augustynowicza i wszystkich wydatków, jakie ten za sobą pociągał. Z drugiej strony, należy mu przyznać, że słowa danego Gustawowi dotrzymywał z całą sumiennością. U Heleny nic się nie zmieniło; Szwarc tedy brałby ją w takich warunkach, w jakich zostawała od lat dwóch.

Była niezawodnie połowa prawdy w tym, co mówił Helenie o swej ambicji; więcej jeszcze ważyła chęć rzucenia rękawiczki przeciwnikom, ale najważniejszym podobno powodem, dla którego nie żenił się z Heleną, był ich stosunek wzajemny; nadto zbliżenia między ludźmi, niepołączonymi węzłami, dającymi więcej prawa do pieszczot i pocałunków. Czara była do połowy wypita. Uprawienie odbierało raczej urok zakazanego owocu, doznanej już słodyczy, niż obiecywało nowe.

Pokazuje się, że Augustynowicz miał trochę racji.

Szwarc może sam przed sobą nie przyznawał, że dlatego nie pragnął zmiany owych stosunków, ponieważ było mu z nimi wygodnie.

Nie kochał więc Heleny?

Kochał, bo inaczej nie przychodziłby do niej codziennie, nie całowałby jej ust, czoła i rąk; ale pamiętajmy, że to właśnie wypełnia w połowie pragnienie, któremu w innych warunkach czynimy zadość przez ołtarz.

Pojęcie „narzeczona”, jest niby przezroczystą zasłoną na obnażonej kobiecie. Przychodzimy do ołtarza, żeby ją zerwać; zerwawszy, tracimy część uroku.

Pocziwa natura ludzka wynagradza ową stratę pojęciem „przywiązanie”; gdy i tego zabraknie, występuje inna, jeszcze mniej powabna rzecz „przyzwyczajenie”.

Ale życie się toczy.

Szwarc uchylił już zasłony, do zupełnego zerwania jej prowadziły dwie drogi: jedna nazywała się ołtarz, druga... druga była zapomnieniem się chwilowym, zwycięstwem namiętności nad honorem; mniej uczciwa, nieuczciwa po prostu, ale szybka i powabna.

Pierwsza była trudna; w drugiej każda chwila była pokusą, każdy pocałunek pobudką.

Do pierwszej zniechęcała niewczesna opieka nad Heleną, drugą radziła miłość własna.

Ale pierwsza była uczciwą, druga — nie.

Szwarc stał na rozdrożu.

Można by wprawdzie powiedzieć, że uczciwy człowiek nie powinien był się wahać; ale można by także spytać, jakby postąpił uczciwy człowiek w takim razie, gdyby siły pokusy były absolutnie większe od zasobów jego uczciwości?

Helena kochała Szwarca, odpowiadała nerwowo na jego pocałunki. Ze świadomością nie mogła decydować, nieświadomie przyrzucała ciężaru tej wadze, która w duszy Szwarca przeciwwazyła uczciwość i honor.

Ileż to czarowne słówko „miłość”, przynosi czasem z sobą wielkich i małych walk, udręczeń i niepokojów! Cała ta hałastrza z gwarem i wrzawą, zbrojna w kolce i dzwonki, swawolna, gwałtowna, nadlatuje ze wszystkich stron, bawi się sercem, jak piłką, podrzuca aż pod gwiazdy, lub depce po ziemi. Otwierają się wówczas wszystkie pieczary twej duszy. Aniś się domyślał, co w nich mieszka. Wszystkie siedem grzechów głównych ze wszystkimi cnotami, o których prawią katechizmy, idą o ciebie w zawody. Widzisz się być innym, niżeliś dotąd mniemał; przestajesz ufać sobie, podejrzewasz się na każdym kroku, tracisz rząd nad sobą. Namietności, niby płomienie, powstają wówczas z głębi twej istoty i, jak ogniki na bagnie, chodzą, czolgają się, kołują, podskakują i nikną.

Noc ducha, rozdzierana ich światłem, ukazuje ci w ich kolorach twe własne wnętrze. Pełnisz rolę aktora i widza. Jesteś niby łódź bez wiosła na falach z płomieni... Potem grom jeden kończy wszystko, ognie niby fajerwerk gasną; śniesz wtedy, jak Dante, o piekle i niebie.

Smutno, gdy po przebudzeniu nie masz nikogo, kto by ci wrócił przecierpiane chwile. Wróci się, wróci spokój! ale szczęście nie wróci. Ręka ucięta nie boli, ale jej nie ma.

Augustynowicz może miał trochę racji, gdy mówił, że życia nie warto wydawać na jedno uczucie. Może nie należy rozbijać się o ciasne ściany własnego egoizmu i własnych zachcianek. Nad nami i obok nas szeroki świat, huczą tam fale wzdymane przez ludzkość całą, czyż nie lepiej odciąć kotwicę, odepchnąć okręt od brzegu, uciszyć rozplakane serce i płynąć w przyszłość bez szczęścia, ale z pracą, bez wiary, ale z myślą?

To pewna, że do czasu takiej ogniowej próby nie można wyrokować o szlachetności kruszcu, z którego ulana dusza człowieka. Żadnych tedy gwarancji za przyszłe postęпки Szwarca dać nie możemy. Doznawał różnych pokus, to wiemy; ręczymy także, że walczył z nimi, jak mógł; jak jednak się skończyło, czy on, czy one okazały się silniejszymi, potem o tym powiemy.

X

Wracając do domu, Szwarz spotkał w bramie starego hrabiego z córką, schodzących ze schodów. Panna rzuciła nań ciekawym okiem, a, uszedłszy parę kroków, obejrzała się raz jeszcze z uśmiechem. Szwarz zauważył, że była bardzo ładna, i z prawdziwym zadowoleniem usłyszał, jak mówiła ojcu: „To młody doktor, papo, który mieszka pod nami”. Nie wiele mu już brakło wprawdzie do ukończenia uniwersytetu, — chętnie jednak usłyszał, że już go poczytują za doktora.

Mieszkanie Szwarca było otwarte, stróż domowy robił w nim porządek. Od niego dowiedział się Szwarz szczegółów o hrabi i hrabiance. Stróż nie lubił ich obojga; utyskiwał na ich skąpstwo, choć domyślał się, że musieli być bardzo ubodzy, bo i za mieszkanie nie płacili bardzo regularnie.

— Pannica harda — mówił — przez cały dzień nic nie robi, tylko gra i śpiewa; przykrzy jej się bez męża, ale cóż robić?

Stróż nie radził Szwarzowi poznawać się z nimi, „ile że hardzi ludziska, a w kieszeni, panie kochany, pustki”.

— Stara hrabina dawno nie żyje? — pytał Szwarz.

— A będzie ze trzy lata, jak umarła. Bo to, widzisz pan, dawniej podobno byli bogaci, ale on stracił majątek na zbożu, co to niby miał odstawiać je wspólnie do Odessy; nazarywał ludzi co niemiara. Ona była najlepsza z nich wszystkich. Zaczynała, ale też gryzła się i umarła. Już pięć lat, jak tu mieszkają.

— Znajomych, rodziny dużo mają?

— Nie muszą mieć, bo nie widziałem nikogo.

Następnie Szwarz w oczekiwaniu na Augustynowicza położył się do łóżka, a kazawszy sobie podać szklankę herbaty, usnął niebawem. Gdy się obudził, czuł się cokolwiek chory. Augustynowicza jeszcze nie było, choć już dobrze mroczyło się wówczas. Przyszedł w doskonałym humorze.

Dama, z którą się był poznał, nazywała się Wizbergowa, a miała córkę Karolinę. Augustynowicz auskultował obiedwie: córce przepisał taniec, matce — konną jazdę. Zresztą, obiecał być jeszcze u nich i przyprowadzić Szwarca.

— Stara dama mówiła mi, że już pozwy hrabiemu doręczone, co mnie zresztą nie obchodziło — mówił Augustynowicz. — Była nawet u hrabiego, ale zastała tylko hrabiankę, która jej się podobała. Panienska przestraszyła się bardzo, dowiedziawszy się o celu przybycia starej damy. Pytałem się starej damy, dlaczego upomina się o marne parę tysięcy, kiedy wydaje się być żoną Krezusa? Odpowiedziała, że jej nieboszyk nazywał się Kleofas, nie Krezus. „Żeby to moje — mówiła — pewno bym nie dokuczała im, ale to wszystko mego dziecka.” Wtedy ja ścisnąłem z prawdziwym uczuciem rękę tego dziecka pod stołem: byłem po prostu rozczulony, słowo honoru, byłem rozczulony. Odchodząc, pocałowałem w rękę starą damę. Panna ma na imię Malinka, śliczne imię Malinka, choć nie w tym rzecz, żeby się pięknie albo brzydko nazywać. Coś ty taki blady, Szwarz?

— Nie jestem zdrów zupełnie i spać mi się nie chce. Spałem, czekając na ciebie. Daj mi szklankę herbaty.

Augustynowicz nalał herbatę i, zapaliwszy fajkę, położył się do łóżka. Szwarz przysunął fotel do biurka i, wzięwszy pióro, zaczął pisać.

Wkrótce jednak przestał. Myśli tłoczyły mu się do głowy; oparł się o fotel i puścił im bieg wolny. Kto inny byłby marzył, Szwarz zbierał i sumował własną przeszłość, myślał nad warunkami, w jakich się teraz znajduje, obrachowywał się na przyszłość. Co do tej przyszłości, trudniej było utrzymać mu się w chłodnej roli rozumującego. Słowa: „To młody doktor, papo”, mimowolnie przychodziły mu na pamięć. Być doktorem i trochę kapłanem nauki, z jednej strony panować rozumem, z drugiej znaczeniem, majątkiem, sławą, (Szwarc nie był jeszcze nieczułym na sławę), przyciągać spojrzenia, wywoływać uśmiechy, wreszcie jednać serca... Tu przypomniawszy mu się Helena. W krainie uczucia nie wolno mu już było wybierać. Czuł się związanym, a przecież chciałby widzieć zwracające się na niego oczy i uśmiechy ustek dziewczycy i słówka tak mile szeptane: „To młody doktor!” Pierwszy raz nie mógł opędzić się myśli, że Helena może mu być przeszkodą w jego pochodzie naprzód. Z tą myślą postanowił rozprawić się. Wykształcenie jej nie stało na zawadzie — była wykształcona; miała lat dwadzieścia jeden, Szwarz — dwadzieścia cztery, różnica lubo za mała, nie stanowiąca przeszkody. Jakież mógł mieć powody obawy, aby Helena nie ciążyła mu kiedyś. Sumienie powiedziało mu, że pierwszą przyczyną była jego próżność. Znał mało kobiet, a chciałby ich znać wiele i panować nad nimi? Ale istniały jeszcze inne względy, których nie przypuszczał Szwarz. Za mało kochał. W duszy jego leżały ogromne kapitały uczucia, on ledwo część ich podniósł na imię Potkańskiej. Nosił w sobie głuche poczucie tych sił, poczucie to odbierało mu spokój. Chciał uchwycić grunt rzeczy, a niełatwo było, nawet takiej świadomej siebie głowie, jak Szwarz, dojść do ostatnich rezultatów.

Zresztą, sam nie wiedział, czy przyszłe możliwe tryumfy warte były Heleny. Mieć za całą przyszłość przy sobie kobietę tak wdzięczną i tak kochającą, toż to samo, co w lot uchwycić przelatującą skrzydlatą marę szczęścia, a gdyby przy tym wiedział, ile w tych przyszłych tryumfach będzie rzetelnej wagi, ile się tam zawiedzie, ile obliczy naprzód, byłby się nie wahał w wyborze. Ale nie zetknął się jeszcze z obłądą.

Te medytacje zmęczyły Szwarca, lampa w pokoju pociemniała, począł drzemać; nagle stuknięcie jakieś na górze przebudziło go znowu. „I tam nie śpią” — pomyślał sobie, pomyślał o hrabiance i o jej wesołym uśmiechu. „Jak też taka dziewczyna musi spać lekko i spokojnie! Jest jednak w tym coś prawdy, że dziewczyny podobne są do ptaków; człowiek pracuje i mozoli się i rozmyśla, a one... a to wcale ładny ptaszek ten na górze. Chciałbym ją widzieć śpiącą... Ale to już późno, godzina wpół do drugiej i mnie... Co to... i raptem zerwał się na równe nogi.

Gwałtowne targnięcie dzwonka ocuciło go zupełnie, otworzył drzwi i, podniósłszy lampę, spostrzegł przed sobą hrabiankę. Była blada jak trup, jedną ręką trzymała świecę, drugą ogarniała jej płomień. Na sobie miała czepeczek i giezłeczko nocne, przez które świeciła jej szyja i piersi.

— Panie! — zawołała — ojciec mi umiera!

Szwarc, nie rzekłszy słowa, porwał narzędzia lekarskie i, zaleciwszy rozbudzonemu Augustynowiczowi, by ruszał co sił na górę, sam pobiegł za nią. W pierwszym pokoju stało

łóżeczko hrabianki z koldrą odrzuconą, snadź przed chwilą opuszczone; w drugim leżał hrabia. Oddychał, a raczej rzązał głośno; był już nieprzytomny, na ustach miał krwawą pianę, a twarz siną. Za chwilę przybiegł Augustynowicz nieuczesany i zaledwie ubrany. Obaj zajęli się chorym, nie zważając na hrabiankę, która z jękiem uklękła w nogach łóżka, prawie nieprzytomna. Nagle Szwarz z Augustynowiczem spojrzeli sobie w oczy, wzajem spostrzegłszy, że nie ma najmniejszej nadziei.

— O, Boże, Boże! może by jeszcze kogo zawołać! — wybuchnęła ze łzami hrabianka.

— Ruszaj po Skotnickiego — krzyknął Szwarz.

Augustynowicz pobiegł, chociaż był pewien, że wróciwszy z doktorem nie zastaną już hrabiego między żyjącymi. Tymczasem Szwarz z całą energią i przytomnością umysłu zajął się chorym, puścił mu krew, wreszcie spojrzawszy na zegarek, oświadczył, że atak przeminął.

— Dzięki Bogu! Więc jest jeszcze nadzieja! — zawołała hrabianka.

— Atak przeminął... — powtórzył Szwarz.

Tymczasem weszli Augustynowicz z doktorem.

Doktor Skotnicki oświadczył, że chory na ten raz uratowany, ale dodał bez ceremonii, że jeśli atak powtórzy się raz drugi, śmierć niechybnie nastąpi. Kazał pilnować chorego i nie odstępować go na chwilę. Nasi przyjaciele siedzieli tedy noc całą.

Nazajutrz z rana chory oprzytomniał i zażądał księdza. Augustynowicz musiał iść po niego i rzeczywiście sprowadził jakiegoś chudego proboszcza czy kapelana, który nad chorym odczytał zwykle modlitwy i litanie, po czym wyspowiadał go, komunikował i namaścił olejem świętym.

Przez kilkanaście godzin hrabia ciągle był przytomny, rozmawiał ze Szwarzem, błogosławił córkę, mówił o testamencie, słowem, czynił to wszystko, co jest przyjęte przez umierających, jako chrześcijański i uczciwy sposób przeniesienia się z tego świata na tamten. Przy tych ceremoniach zeszedł dzień cały. Gdy się zmierzchno, Szwarz począł namawiać hrabiankę, by odpoczęła, bo biedna dziewczyna, mimo silnej budowy ciała, zaledwie mogła stać na nogach ze zmartwienia i niewyuczasa.

Opierała się długo i przystała dopiero wtedy, kiedy jej prawie kazał to zrobić. Odchodząc, podała mu rękę, dziękując za starania około ojca. Szwarz wtedy spojrzął na nią uważniej. Mogła mieć lat dwadzieścia, a może i mniej, gdyż silnie rozwinięta postać kazała ją uważać za starszą, niż była w istocie. Średniego wzrostu, usta miała duże, ale miłe; błękitne, rozumne oczy i ciemne włosy. W ogóle twarz była nadzwyczaj sympatyczna. Czoło miała przesłicznie ocienione włosami, wyraz twarzy i ruchy zdradzały w niej wytworny, arystokratyczny typ piękności. Ręce przy tym miała nader małe.

Hrabia zasnął w godzinę po jej odejściu. Szwarz z Augustynowiczem siedzieli przy jednej zasłoniętej lampce, obaj zmęczeni i zamyśleni.

Augustynowicz odezwał się pierwszy półgłosem:

— Powiedz mi, co się zrobi z hrabianką, kiedy ten?... — tu wskazał głową chorego i zamknąwszy oczy, pociągnął palcem po gardle.

— Myślę nad tym — odparł Szwarz. — Może znajdzie się ktoś z rodziny.

— A jeśli się nie znajdzie?

— Ostatecznie trzeba będzie o tym z nią pomówić. To widocznie ubodzy ludzie; stróż mi mówił, że mieszkanie dotąd nie opłacone. Ale nie bez tego, żeby gdzie nie mieli krewnych, albo przynajmniej znajomych.

— No, zresztą potem o tym — mówił Augustynowicz, który nie lubił długo zatrzymywać się na jednym przedmiocie.

— Czekać — przerwał Szwarz — na wszelki wypadek przychodzi mi jedna myśl do głowy. Do tej pory nikt, tu jednak nie był, a niepodobna, żeby to biedactwo — pokazał oczyma drzwi, gdzie spała hrabianka — niepodobna, żeby to biedactwo pozostało samo po jego śmierci. Powiedz — spytał nagle — czy twoja znajoma Wizbergowa pobożna kobieta?

— O, jak patyna!

— Poczciwa, prostoduszna?

— Niesłychanie; ale cóż to ma za związek z hrabianką?

— Chcę jej oddać ją w opiekę.

— Ależ proces?

— Właśnie dlatego.

Tu chory poruszył się nagle. Szwarz spojrział na niego bystro, po czym mówił, szepcząc:

— Jedno komorne staje mi na zawadzie, ale zrobi się to, zrobi się i owo. Może zostanie coś po jego śmierci.

— Oj, to komorne, to komorne — szeptał Augustynowicz. — Żebyśmy nie zasnęli, muszę ci opowiedzieć historyjkę. Nigdy nie płaciłem komornego, gniewało mnie to nawet, gdy się o nie upominano, a nie mogłem przyzwycząić żadnego gospodarza, by go nie brał. Wreszcie udało mi się z jednym. Mieszkałem w domu jakiegoś urzędnika: stary był człeczyna, a głupi jak Midasowe uszy. Otóż raz siadłem sobie w ogródku, który do niego należał, a że to było latem i nocą, w braku lepszego zajęcia liczyłem gwiazdy na niebie. Rozmarzyło mnie to trochę, widzisz noc gwiazdzista zawsze rozmarza. Wtem ten osioł przychodzi do mnie i mówi mi niedorzeczności: po prostu, żebym mu zapłacił. Wtedy powstałem z miejsca i, zakreśliwszy uroczyście ręką łuk między wschodem i zachodem, spytałem tajemniczo:

— Widzisz tę niezmierność i te miliony światel bożych?

— Widzę — odpowiedział przełęczniony trochę tonem mego pytania — ale...

— Milczenie! — rzekłem poważnym głosem i, zdjawszy kapelusz, podniosłem oczy w górę, po czym, spojrzawszy na osłupiałego gospodarza, zagzmiałem:

— Prochu marny! porównaj swoje pięć rubli...

Nagle przytłumiony jęk przerwał Augustynowiczowi. Hrabia posiniał, skurczył się, palce rąk jego zwinęły się w kłębek; widocznie, przychodził drugi atak.

Szwarc w tejże chwili rzucił się ku choremu, prawie przemocą wyprostował mu rękę.

— Ts! puszczaj krew! — zawołał przytłumionym głosem.

Zrobiło się cicho; dziwnym trafem lampka w tej chwili pociemniała jeszcze bardziej. Od czasu do czasu słyhać było tylko szybkie półgłośnie słowa Szwarca.

— Puls?

— Wody!

— Dusi się — szepnął Augustynowicz. Obaj zatamowali w sobie oddech, odezwał się głuchy trzask lancetu, stal pograżyła się w ciało, ale krew już nie poszła.

— No, to i koniec! wszystko na nic! — zawołał Szwarz, odetchnąwszy głęboko.

Na czole wystąpiły mu krople potu.

— Żył, żył... aż umarł — rzekł z najobojętniejszą w świecie miną Augustynowicz. — Zrobiliśmy swoje, teraz spać.

XI

Hrabia istotnie umarł i pogrzebion wedle obrządku chrześcijańskiego. Po jego śmierci Szwarz złożył wizytę starej damie. Chodziło o zapewnienie opieki dla hrabianki, gdyż z rodziny nikt się rzeczywiście nie zgłosił, hrabia zostawił bardzo mierne środki utrzymania, a choćby i zostawił, panna była za młoda, by mogła na własną rękę dom prowadzić.

Ze względu na wysoką pobożność i niezmierną drażliwość sumienia owej damy, nie trudno było Szwarzowi przeprowadzić rzeczony interes. Wmawiał w nią, że zabiła hrabiego ostatnim procesem, że zatem obowiązkiem jej jest dać opiekę dziecku swej ofiary. Dama przełękła się mocno katuszy piekielnych, którymi jej groził, a z drugiej strony sądziła, że towarzystwo hrabianki, wysoko światowej i ukształconej, jak zaręczał Szwarz, nie będzie bez korzyści dla jej Malinki. Pani Wizbergowa była to niewiasta zacna w całym znaczeniu, rozumu to tam wprawdzie nie miała wiele, a jeszcze mniej obycia się w świecie. Najlepszym tego dowodem było, że Augustynowicza uważała za szczyt elegancji, poloru i dobrego tonu, a Szwarca od pierwszej jego wizyty bała się po trosze. Kontenta była jednak w duszy, że taka dystygowana, jak mówiła, młodzież była łaskawa na jej niskie progi. Malinka, która z wielu względów przypominała matkę, serio była zajęta Augustynowiczem. Wymogła na matce, żeby zostały na stałe mieszkanie w Kijowie; zresztą, stara dama trochę i w tym celu przyjechała do miasta. Córkę trzeba było światu pokazać, bo Malinka miała dziewiętnaście lat, a przez owe dziewiętnaście lat raz była w Kijowie, raz w Żytomierzu, resztę przesiedziała w domu. Fortuna pozwalała także na pobyt w mieście.

Nieboszczyk pan Wizberg był za dni swoich urzędnikiem na komorze i mimo tego, że w mowie pogrzebowej nad jego trumną były powiedziane słowa: „Śpij, Kleofasie Wizbergu! przez długie wieki narody (cała Europa) będą podziwiała twą nieskażoność i surową cnotę”, — mimo tych słów, mówimy, Kleofas Wizberg pozostawił nieutulonej w żalu małżonce około dziewięciukroć sto tysięcy złotych, a byłby pozostawił więcej, gdyby sroga Parka nie przecięła dni jego. Sytszy lat niż dochodów, zstąpił w królestwo cieniów.

Ale w dobre ręce dostały się owe dochody, bo obie damy miały niezmiernie zacne serca.

Pomagały wdowom i sierotom, płacili regularnie sługom i służebnicom, dziesięciny wiernie kościołom swym oddawały, słowem, spełniały wszelkie uczynki chrześcijańskie tak co do ciała, jako i co do duszy. Hrabiankę przyjęły z otwartymi rękoma i z taką serdecznością, jakby jej rodzone. Szczególniej Malinka, poczciwa choć niedowarzona dziewczyna, formalnie zakochała się z pierwszego wejrzenia w szlachetnej sierocie. Jak to ona obiecywała sobie być dla niej dobrą i uslužną, jak chciała ją pocieszać, jak marzyła o czystej na przyszłość z nią przyjaźni, trudno wypowiedzieć; dość, że Szwarz znalazł dla hrabianki taką opiekę, że i w domu własnych rodziców nie mogłoby być jej lepiej. Prawda, że i hrabianka, łatwo mogła obudzić sympatię. Cichy a głęboki smutek, przygniatający ją w tej chwili, nie odrywał jej tak dalece od rzeczywistości, aby nie umiała być wdzięczną tym, co jej dobrze robili. Szwarzowi podziękowała ze łzami w oczach, wyciągnąwszy do niego rękę, którą ten z rzadkim u niego wzruszeniem do ust przycisnął.

— Jak Boga kocham! — mówił Augustynowicz — małom nie beknął, gdy na mnie spojrziała. Niech mnie diabli porwą, jeśli nie jest sto razy ładniejszą, niż ja.

Owo i nowa postać, już obwołana głosami sympatii, wplątała się w losy bohaterów tej książki. Że taka hrabianka nie mogła pozostać bez wpływu na nich, łatwo zrozumieć. Czy zaś przyszłość przypnie jej anielskie skrzydła do ramion, czy w onym ponętym ciełe wykaże duszę pełną oschłości i obłudy, dalszy ciąg nas o tym nauczy.

Hej, hej! Gdyby to życie było, jak książka; gdyby można dawać i ludziom dusze, tak jak się tworzy je w myśli, niby ci sami, a inni byłiby ludziska. Ale to wszystko jedno. „Bo jadłem świata tego zatrute kołaczki” — mówi pachole. Dusza jest jako źródło: zatrutą wodę niesie daleko, a któż zaręczy, czy mu trucizna nie leży w duszy na dnie, i czy zatrutych nie tworzyłby postaci. Dusza, to karta biała! Bóg na niej pisze z jednej, a szatan z drugiej strony; ale Bóg i szatan są tu tylko symbole. W rzeczywistości jest inna ręka: iście, że świat tą ręką. Pisze świat, piszą źli i dobrzy ludzie, piszą chwile szczęścia, piszą najtrwalej cierpienia. Ale bywają dusze, jak muszle. Muszla ziarnko piasku, dusza ból w perłę zamienia, smutek i samotność prowadzą do tego.

Ale nie zawsze i jak dla jakiej duszy. Smutek i samotność to czasem tylko pokrywa dla nudy, czczości i głupoty. Te siostry rodzone lubią mieszkać pod pałacami, stawianymi ze smutku i samotności, szukając tam tego, czego nie zgubiły nigdy. Nie idzie zatem, żeby samotność nie miała powabów, smutek ich nie ma, przynajmniej nie dla smutnego. Samotność dla duszy, to coś niby jak chwila snu dla ciała. Więcej jeszcze; ta mglista monada niby topnieje w samotności, rozplywa się, rozpuszcza, przestaje prawie istnieć; słowa i myśli kończą się w tej milczącej krainie, dusza unicestwia się na chwilę, rozchodzi się na wszystkie strony od własnego środka.

Wszystko to nazywa się spoczynkiem.

Samotność jest najgorszą nazwą, jaką umysł ludzki wymyślić zdołał. Samotność nigdy nie jest samotną, towarzyszy jej zawsze cichość.

Szkoda, że mglistą szatę tej pani nosi najczęściej nader powabny paż, któremu na imię lenistwo.

Czasem jednak — mówią poeci — samotność bywa chwilą twórczą. Dusza ugina się wówczas i drży, nachylając się do przyjęcia jakiejś wizji, nadlatującej z zewnątrz.

Dlatego samotność lubią tylko głupcy lub mędracy, ospalcy lub poeci.

Hrabianka wielce lubiła samotność.

Była tedy?... Zobaczymy...

Czas z tych mglistych krain zejść do rzeczywistości życia.

Wchodzi w nie i hrabianka.

Jako?

Jako młoda dziewczyna... Czy może być coś powabniejszego pod słońcem?
Taka śliczna mieszanina krwi, ciała, woni kwiatów, promieni słonecznych i... I czego?
I naszych złudzeń.
Leć, złoty motylu!

XII

Smutno istotnie przepłynęła przeszłość hrabianki. Za życia ojca całe dni przesiadywała w samotnym pokoju, prawie ubogim, słuchając świergotania wróbla za oknem lub kłótni dziewczek w kuchni.

Stary hrabia przychodził wieczorami zmęczony i przybity ustawicznym przelewaniem z pustego w próżne, jak sam nazywał swoje sprawy. Nic mu się nie szczęściło. Swego czasu był obrotnym i zabiegliwym; chciał dawać przykład z siebie arystokracji, jak to herbowni winni brać się do pracy i przemysłu, a w rezultacie stracił majątek. Zostało mu za to doświadczenie, które chętnie byłby sprzedał za jakie kilka tysięcy, i jeszcze jedna rzecz, której byłby nie sprzedał, to jest wspomnienia i duma rodowa.

Cementem dla owego doświadczenia i owej dumy był w nim kwas do życia, ludzi i całego świata. Było to naturalne. Swoi go nie przyjęli, a ci, którzy go przyjęli, przyjęli tak, że mimowolnie przychodziła na myśl bajka o lwie konającym i oślich kopytach. Żebyż miał jeszcze syna! Młode orle wyleciałoby z gniazda z nowymi siłami, szukając słońca i blasku... ale córka? Hrabia się nie ludził: córka musiała zostać starą panną lub wyjść po jego śmierci za pierwszego, kto by jej się trafił. Dlatego hrabia nie kochał tyle córki, ile był powinien. Córka za to, czy pomimo tego, kochała go serdecznie: kochała, bo miał białe włosy, bo był nieszczęśliwy, bo wreszcie nie miała kogo kochać. Na koniec, on był dla niej ostatnim tomem opowieści, którą snuła dalej w marzeniach. Nieraz wieczorami zrzędny głos starca opowiadał jej dawne dzieje ich rodziny, pełne świetności i blasku, dobre dla hrabiów i hrabianek dzieje, a ona, słuchając go, tkwiła całą duszą w tej przeszłości.

Nieraz zdawało jej się, że od złotego tła legendy odrywa się jakaś postać skrzydlata, pół-rycerz husarz z krzywą szablą w dłoni, orli syn stepów i walki. Machnął ręką i oczyścił się stepy z tatarstwa, rzekłbyś, Krym dojrzysz i morze błękitne za Krymem. Hej, zwykle marzenia dziewczyny! Jak step szeroki, tyle pieśni o jego czynach, a potem on taki sławny choć tak kochany, schylał czoło przed jakąś postacią niewieścią. Zwykle marzenia magnackiej dziewczyny! Ta niewieścia postać, to ona; on, to jakiś Herbert lub Korecki.

Jak była wychowana, tak marzyła, a były te marzenia niepożyteczne, ba, może i szkodliwe, ale piękne; to też gdy stary kończył opowiadanie i wspomniawszy terażniejszość, dodawał z goryczą: „Moja wina, moja wina”, ona mu ręce na szyi związawszy, mówiła zwykle: „Nie twoja, tateczku! wrócą te czasy!”

Ale czasy nie wróciły. Stary umarł, a jako opiekun nie zjawił się żaden wycięty ze szerniałego tła obrazu rycerz. Postać, co się zjawiła, nie miała nic wspólnego z rycerskością. Ta głowa z twarzą surową i szerokim czołem, zimna twarz nowoczesnego myśliciela, żadną miarą, nawet w marzeniach dziewczyny, nie pasowała do miedzianego hełmu i piór strusich. Inne potęgi musiały tętnić na czole prowadzącego uskrzydłone pułki na tatarów.

Ale z drugiej strony, Szwarz był czymś zupełnie nowym dla hrabianki, czymś, co ją wprowadzało w podziw. Niewiele w nim było słów, ale był czyn. W krótkim czasie potrafił być dla niej wszystkim; dostrzegła w nim stanowczość, energię i szybkość działania. Może nie umiała sobie wytłumaczyć, że to także jest męstwo, tylko inne, niż dawniej; czyż jednak mogła tego nie dostrzec? Staremu hrabiemu nie udawało się nic; Szwarz, objąwszy jego interesa, robił w jednym dniu więcej, niż hrabia w dziesięciu. Zrozumiał, że hrabianka potrzebuje mieć jakie takie zasoby, by w drobiazgach nie odwoływać się do dobroci i kieszeni pani Wizbergowej. Na tę myśl ona drżała, on ją przewidział. Radykalnie ratował resztki dochodów hrabiego, a kroki jego w tym względzie były podobne do cięć lancetu, zawsze pewne, zawsze skuteczne. Naturalnie, Szwarz radził sobie przy pomocy znajomego prawnika, który, mimo młodych lat, byłby w diabła wmówił bogobojność, ale dlaczego nie poradził tak sobie stary hrabia? To naprowadziło hrabiankę na pewną myśl: arystokrację wyobrażała sobie w postaci swego ojca, demokrację — w osobie Szwarca.

— Och, jacyż to ludzie być muszą! — myślała prawie z obawą — straszni ludzie, którzy umieją łamać przeszkody, inni ludzie.

Resztę dopowiedziały jej książki. Hrabianka daleko zachodziła w takich myślach. Raz, gdy spytała o szczegóły jego przeszłości, usłyszała, jak odrzekł z całą swobodą:

— Mój ojciec był kowal!

Prawie nie rozumiała, jak taką rzecz można było tak naturalnie powiedzieć, zdawało jej się, że jeśli tak było, nie powinien był jej tego mówić, dlaczego się z tym nie krył? Te słowa były istotnie młotem, który ciężko uderzył w duszę hrabianki.

Obrzuciła Szwarca zdziwionym wzrokiem, jakby szukając na nim skórzanego fartucha, lub śladów iskier na dłoniach. Zresztą należy wyznać, że, mimo całej wdzięczności dla niego i pani Wizbergowej, sądziła z początku, sądziła wprawdzie cicho, że korona hrabiowska, unosząca się nad jej czołem, zjednała jej tych ludzi; sądziła, że, przygarniając pańskie dziecko, robili to trochę dla własnego zaszczytu. Otóż poznała, że przynajmniej co do Szwarca pomyliła się zupełnie. Wymawiał on słowo „hrabia”, tak jak „żyd”, „cygan” lub „szlachcic”, nie zwracając nawet uwagi na odrębność znaczenia sensu tych dźwięków. Czyżby tego nie rozumiał? Nie, tego nie mogła przypuszczać, choć rzeczywiście kwestia arystokracji i demokracji leżała dotychczas odłogiem w jego duszy. Posądzała go tedy o umyślną ignorancję — ale tego nie dosyć — hrabianka spostrzegła, że w postępowaniu Szwarca z nią przebijała się pewna wyższość, a raczej pobłażliwość. Był dla niej delikatny i dobry, ale w ten sposób, jakby chciał okazać, że jego postępowanie było ustępstwem potęgi dla słabości, pobłażliwością sprężystego męża dla dziecka. Choć z drugiej strony, jakże bezpieczną czuła się pod taką opieką! Zdawało jej się, że dla Szwarca nie było nic niepodobnego. Mogła spać cicho i spokojnie, on czuwał. Zrazu jednak próbowała inaczej postawić się względem niego; pragnęła była olśnić go swym ukształceniem, tymczasem wypadło to, że Szwarz łagodnie sprostował jej pojęcia, pokazał, co w nich prawdziwego, co mylnego; krótko: ku wielkiemu jej zmartwieniu nauczył i oświecił; próbowała zaimponować talentem i pewnego razu, siadłszy do fortepianu, niby chcący, niby nie chcący, rozsypała przed nim kaskady melodii, ale cóż? utrapiony Augustynowicz siadł po niej i zagrał daleko lepiej... Ten znów wszystko umiał, wszystko wiedział! Z bardzo zadumaną miną powróciła hrabianka owego wieczoru do swojego pokoiku. Ze jednak te stosunki pojęła i zrozumiała, dowodziło to w niej niepośledniej główki, a nie było dziwnym, że o nich myślała w tak krótkim czasie po śmierci ojca, bo nawet i rozpacz „dobrze ułożonej” kobiety ma w sobie pewną mniej więcej świadomą, a zawsze niewinną kokieterię.

Zawiażywała się tedy cicha walka między młodym dzieckiem ludu a arystokratyczną dziewczyną. Wytworzyły ją owe zaledwo dające się ująć stosunki, o których wspomnieliśmy wyżej. Walka ta tym była niebezpieczniejsza dla niego, że się jej nie domyślał: hrabianka nie zdołała go olśnić, ale budziła w nim najżywszą sympatię, stała mu się niby ukochanym dzieckiem, którego losy trzymał, jak sądził, w dłoni.

Zajęty nią żywo, zaniedbywał Helenę; wizyty jego u tej ostatniej stały się rzadsze. Więcej gonił za myślą zrobienia przyjemności hrabiance, niż uciekał przed myślą wyrządzenia Helenie przykrości.

Co do hrabianki, łatwo zrozumieć, że i w jej uczuciach dla niego nie było, ani mogło być nic nienawistnego. Trochę rozbudzona miłość własna prędzej mogła wieść do miłości niż do nienawiści. Prawdę powiedziawszy, hrabianka Lula chciała po prostu, żeby ten energiczny demokrat schylił w przyszłości korną i rozkochaną głowę do jej arystokratycznych kolan.

Nie od razu jednak postawiła cel jasno; postawiła go dopiero wówczas, gdy spostrzegła, że Szwarz jest przy tym pięknym mężczyzną. Przypominamy nawiasowo, że hrabianka Leokadya miała dwadzieścia lat i że od dawna w duszy jej budziły się rozliczne tęsknoty i niepokoje, z których nie umiała sobie zdać sprawy. W języku poetów nazywałoby się to echem pragnienia, „by kochać i być kochaną, a może nawet, by umrzeć młodą”; czymkolwiek to jednak było, wystarczyło, by Luli dostarczyć wątku do ustawicznej myśli o Szwarcu. Zaufanie, jakie doń miała, wdzięczność za doznaną opiekę, z dnia na dzień zwiększały jej sympatię ku niemu.

Wprawdzie matka mówiła za dni swoich Luli, że dobrze wychowana panna nie powinna się kochać, ale natura matka szeptała jej zgoła co innego. Zaiste, podobne mamy częstokroć bywają z sobą w niezgodzie. Wypada z tego, że w duszach większości niewiast

rzadko wzrośnie i spotężnieje szerokie a bujne uczucie, natomiast krzewi się tam tysiące nerwowych miłostek, mniej skrzydlatych, ale... i mniej obowiązujących.

Lula konstatawała tedy fakt, że Szwarz jest rozumnym, szlachetnym i pięknym mężczyzną, nie śmiemy zaręczać, na który z ostatnich przymiotów kładła większy nacisk. Owóż tego wieczoru, idąc spać, zadawała sobie ważne w następstwa pytanie: „A gdyby on mnie kochał?” Zamiast odpowiedzi, pobiegła bosymi nóżkami na wpół rozebrana do zwierciadła. Autorom tylko wolno widzieć podobne obrazki. Czepeczek nocny obejmował jej główkę, a spod czepeczka sypały się pierścionki ciemnych włosów na białe ramiona, ginąc pod rąbkiem bielizny. Z błyszczącymi oczyma i falującą piersią patrzyła w zwierciadło. „A gdyby on mnie kochał? — powtórzyła — gdyby klęknął tu blady i pałający...” Tu? i w takiej chwili? krwawy rumieniec oblał jej twarz i szyję, zdmuchnęła świecę.

Odtąd szczególne zmiany zaczęły się w niej pojawiać; czasem opanowywał ją dziwny niepokój, wpadała w zamyślenie, czasem chodziła senna jakaś i ociężała, niby osłabiona; indziej, kryła znów główkę na piersiach Malinki, całując ją bez przyczyny. Szwarca widywała codziennie.

A tak płynęły dni... miesiące... a powoli i w duszy Szwarca zaczął się odbywać niejaki przewrót. Z wolna owo dziecię ukochane dojrzało w jego duszy i zmieniło się w piękną, w pełnym rozkwicie kobietę. Wzrok jego, gdy na nią patrzył, nie miał już owej dawnej pełnej przezroczystości i spokoju; dawniej mógłby był usnąć ją na własnych piersiach i senną zanieść, jak dziecię, do łóżeczka; dziś sprawiłoby mu to przerażająco inną sensację. Coraz potężniała sielanka w duszy obojga, aż wreszcie, po upływie tylu a tylu dni, czy tylu a tylu miesięcy takie dwie rozmowy toczono w mieszkaniach pani Wizbergowej i Szwarca.

— A gdybyś kochała, Malinko?

— To wtedy, moja Lulu, byłabym bardzo szczęśliwa i bardzo bym kochała, i widziałabym, Pan Bóg by sprawił, że on mnie kochałby także.

— A gdyby nie kochał?

Malinka potarła czoło rękoma.

— Nie wiem, nie wiem, ale mi się zdaje, że kochać a kochać to różnica. Ja bym kochała tak... Boże! ja nie umiem tego powiedzieć... ot, tak bym kochała...

Malinka zarzuciła ręce na szyję przyjaciółki i przycisnąwszy ją do piersi, osypała pieśczęcią i pocałunkami.

— Lulu moja, wtedy musiałby mnie kochać.

I jak dwa gołębie, kryły głowy na piersiach jedna drugiej.

Było milczenie.

— Malinko! — rzekła ze łzami w głosie Lulu.

— Lulu, moja serdeczna!

— Malinko, ja kocham.

— Wiem, Lulu.

— Stary! — mówił Augustynowicz do Szwarca.

— Cóż tam nowego?

— Niech mnie!... jeśli to nowe. Widziałem, stary, całowałeś woaliki hrabianki... Niech mnie powiesz, jeśliś nie całował... No, lubisz całować; czekaj, mam tu parasol, może parasol będziesz całował, a jeśli parasola nie chcesz, to może zeszłoroczne moje okrycie. Podszewka poobrywała się w rękawach, zresztą dobra. Niech mnie!... Podajno fajkę... Wiem stary, co się to znaczy; ta głupia Wizbergowa nic nie wie, ale ja wiem.

Szwarc zakrył twarz rękoma.

Augustynowicz patrzył na niego w milczeniu; szurzał nogami pod stołkiem, pochrząkiwał, mruczał coś przez zęby, wreszcie odezwał się wzruszonym głosem.

— Stary!...

Szwarc nic nie odpowiadał.

Augustynowicz ze współczuciem trząsnął go za ramię.

— No, stary, nie gryź się, nie martw... odezwij się przecie, idzie ci o Helenę.

Szwarc drgnął.

— Idzie ci o Helenę. Uczciwy jesteś, stary... Co tu z nią zrobić... Wiem! Jeśli chcesz, stary? ożenię się z nią; na Jowisza, ożenię...

Szwarc wstał.

Pięknie mu świeciło na szerokim czole postanowienie, a lubo z zasuniętych brwi czytał ból i walkę, widać było, że zwycięstwo tam padnie, gdzie Szwarc zechce.

Ścisnął rękę Augustynowicza.

— Wychodzę.

— Dokąd?

— Do Heleny.

Augustynowicz wytrzeszczył na niego oczy.

— Do He-le-ny?...

— Tak! — odrzekł Szwarc — dość oszustwa i wahań! Do Heleny z prośbą o jej rękę.

Augustynowicz popatrzał za odchodzącym i, ruszywszy głową, mruknął sobie przez zęby:

— Widzisz, głupi Adasiu, jak to ludzie robią.

Po czym nabił fajkę, przewrócił się na łóżko i pykał ze zdwojoną energią.

XIII

Heleny nie było w domu. Szwarc kilka godzin czekał na nią, chodząc niespokojnie po jej pokoju. Postanowił za jaką bądź cenę wyjść z fałszywego stanowiska, w jakie wtrąciła go równoczesna opieka nad wdową i hrabianką, ale sam przed sobą wyznawał, że postanowienie owo bolało go. A był to ból twardy, prawie fizyczny. Szwarc przyszedł prosić o rękę Heleny, a zdawało mu się w tej chwili, że jej nie cierpi. Ku tamtej rwał się sercem i myślą, rzekłbyś, czuł prośbę we własnej piersi, że prosił u własnej woli o chwilę jeszcze dla tamtej. Kochał Lulę, jak tylko natury energiczne, a na pozór zimne, kochać umieją.

Przygotowywał się do przyjęcia Heleny, a przewidywał, że niemało go to kosztować będzie. Nie masz nic wstrętniejszego, jak niekochanej kobiecie mówić, że się ją kocha. Jest to jedna z najmniej możebnych hipokryzji dla prawdziwie męskiej natury. Szwarc kochał ongi Helenę, ale ją przestał kochać, jeszcze zanim się opatrzył, jak i ile przywiązywał się do Luli. Gdy się opatrzył, miał chwilę słabości; tę nową miłość czuł; a bał się o niej myśleć i przyznać. Gdy serce zagłośnie gadało, mówił doń: milcz! i zatykał uszy, bojąc się własnych możliwych postępów i własnych na przyszłość postanowień. Nie było to z nim zgodne i długo trwać nie mogło. Wypadkiem Augustynowicz z właściwym sobie cynizmem rzucił mu w oczy tą miłością. Dalsza ucieczka była już niepodobną, Szwarc stanął do walki i wyszedł z niej... do Heleny.

Ale nie wyszedł bez śladów walki. Miał gorączkę we krwi i nie mógł myśleć spokojnie. Rozmaite obrazy małych a drogich wspomnień przychodziły mu na pamięć, przy tym, w tej chwili więcej niż kiedykolwiek wierzył we wzajemność Luli. „Czy mam prawo łamać i jej szczęście?” Ta głupia i niedołączna myśl huczała w nim, jak ostatnie strzały zwyciężonych wojsk, rozbił ją jednak refleksją, że między nim i Heleną stoi obowiązek, między nim i hrabianką — nic.

Inne tkwiły trudności w następstwach postanowienia Szwarca. Postanowienie było uczciwym, a jednak żeby go zmienić w czyn, należało skłamać i potem kłamać przez całe życie, udając miłość.

— Złe następstwem dobrego! Eh, czy nie przyjdzie zwariować — myślał Szwarc. — A to życie się płacze, jak nić. Każdy kręci się za szczęściem, jak pies za własnym ogonem, i każdy z równym powodzeniem go goni.

Ho! Szwarc, nie lubiący deklamacji, wpadał jednak w dialektykę nieszczęścia. Taka filozofia ma jednak urok: człowiek lubi swą niedolę, jak dolę.

Tymczasem zapadał wieczór, a Heleny nie było widać. Szwarc przypuszczał, że musiała pójść na cmentarz, i sam nie wiedział, dlaczego myśl owa rozgniewała go tym razem. Tymczasem zapalili świecę i jął chodzić po pokoju. Przypadkowo wzrok jego padł na portret Potkańskiego; Szwarc nie znał go, a nie lubił, chociaż na usprawiedliwienie antypatii, zaledwie mógł przytoczyć słowo „panicz”.

Teraz gdy znów spojrział w owo szerokie, pogodne oblicze, prawie nienawiść błysnęła mu w oczach.

— Ostatecznie i dla niej jestem tylko konterfektem tamtego — myślał.

Nie była to prawda. Szwarc różnił się charakterem od Potkańskiego i Helena kochała już dziś Szwarca dla Szwarca; niemniej ta myśl ubodła go, dużo byłby dał, gdyby Helena nie była żoną ongi tamtego i gdyby nie miała z nim dziecięcia.

— I ja będę miał dziecię — rzekł Szwarc — syna, którego wychowam na dzielnego i twardego męża... Ha, gdyby to przyszłe dziecię było moim i... Luli!

Wstrząsnął się febrycznie i zacisnął usta; kilka kropel potu błysnęło mu na czole.

W tej ostatniej myśli był cały ocean pragnień.

Posiedział tak jeszcze z pół godziny, nim przyszła Helena. Była czarno ubrana; przy tym kolorze wytwornie odbijała jej matowa barwa twarzy i blond włosy. Ujrzawszy Szwarca, uśmiechnęła się bojaźliwie, ale wielka radość była w tym uśmiechu, bo Szwarc w ostatnich czasach rzadkim u niej bywał gościem.

Szczęściem dla siebie, miała tyle taktu, czy niewieściego przeczucia, że nie robiła mu wymówek, nie śmiała także głośno ucieszyć się jego przybyciem, nie wiedząc, co jej przynosi. Ale dłonią, którą mu podała, objęła silnie i szeroko, choć miękko jego rękę. Ta dłoń drgała serdeczną wymową ruchów, tłumaczącą obawy i uczucia wówczas, gdy usta milczą.

Ze smutnym uśmiechem i tak wyciągniętą ręką czarowała niewypowiedzianym urokiem kobiety rozkochanej. Gdyby miała gwiazdę we włosach, mogłaby ująć po prostu za anioła, może nawet miała koło głowy aureolę, jaką daje miłość, ale dla Szwarca nie była aniołem, ani nie miała aureoli.

Dotknął jednak ustami jej ręki.

— Siądź, Heleno, koło mnie i słuchaj — mówił. — Dawno nie byłem u ciebie, a chciałbym, żeby wróciła między nami dawna swoboda i dawne zaufanie.

Zrzuciła okrycie i kapelusz, ręką poprawiła włosy i siadła, milcząc. Wielka niespokojność malowała się na jej twarzy.

— Słucham cię, Józefie.

— Cztery lata już, jak umarł Gustaw, który powierzył mi ciebie. Spełniałem dane mu przyrzeczenia, jak mogłem i umiałem, ale stosunek nasz nie był taki, jak być powinien. To się musi zmienić, Heleno...

Potrzebował odetchnąć, miał wydać wyrok na siebie.

W ciszy, jaka trwała przez chwilę, słychać było uderzenia serca Heleny. Twarz jej bladła, oczy mrużyły się szybko, jak zwykle u kobiet przerażonych.

— Musi się zmienić? — szeptała zaledwie dosłyszalnie.

— Bądź moją żoną.

— Józefie!

Złożyła ręce, jak do modlitwy, i chwilę popatrzała na niego błędnymi od tłoczących się myśli i uczuć oczyma.

— Bądź żoną moją. Czas, o którym ci dawniej mówiłem, nadszedł.

Zarzuciła mu ręce na szyję, głową wsparła się na jego piersi.

— Ty nie sztydysz ze mnie, Józefie! Nie, nie! Więc ja będę jeszcze szczęśliwą? O, ja ciebie tak kocham!

Piers Heleny falowała... Opromieniona mimowiednie zbliżała twarz i usta do ust Szwarca, jak kielich kwiatu.

— O, byłam bardzo smutna, samotna — mówiła dalej — ale wierzyłam w ciebie! Ufa serce, gdy kocha. Tyś mój! Ja tylko przez ciebie żyję, bo i cóż to jest życie? kiedy się człowiek śmieje i weseli, smuci i płacze, myśli i kocha — to w tym jest życie. A ja weselę się i płaczę tylko przez ciebie, o tobie myślę, ciebie kocham. Gdyby nas chciano rozłączyć, roztargałabym włosy i owinęła koło nóg twoich. Byłam jak płomień, na który mogłeś dmuchnąć. Jam twoja, pozwól mi płakać! Kochasz ty mnie?

— Kocham.

— Przeplakałam tyle lat, ale nie tymi łzami, którymi dzisiaj płaczę. Tak mi w duszy jasno! Pozwól mi zamknąć oczy i zobaczyć tę światłość. Ileż to szczęścia w jednym słowie! Józefie mój, Józefie! ja nawet nie umiem o tym myśleć!

Ciężko było Szwarzowi słuchać podobnych słów Heleny; czuł cały bezmiar kłamstwa i rozbratu, w jakim miało mu odtąd popłynąć życie z tą kobietą tak piękną, tak wiele kochającą... a tak mało kochaną.

Wstał i pożegnał ją.

Helena, zostawszy sama, przyłożyła płonące czoło do szyby okienka i długo pozostała tak milcząca. Wreszcie otworzyła okno i, wparwszy głowę na dłoń, zapatrzyła się w szeroką wyiskrzoną noc letnią. Po jej twarzy płynęły ciche łzy; złoty warkocz spadał poplątany na piersi, księżyc biegał po jej czole i srebrzył białosc ubioru.

XIV

W kilka dni później Augustynowicz, siedząc w mieszkaniu Szwarca, pracował wiele na intencję zbliżających się egzaminów. Miłując we wszystkim efekt, okna pozasłaniał roletami, a na środku izby ustawił stół, przed którym stał w tej chwili z pozawijanymi za łokcie rękawami. Widocznie robił jakieś doświadczenia; na stole było mnóstwo szklanych rupieci, stały słoiki pełne proszków i cieczy, paliła się spirytusowa lampka, ogarniając błękitnym płomieniem głupowatą głowę retorty, drżącą pod wpływem gorąca zawartego w niej płynu.

Robota paliła się, jak to mówią, w rękach Augustynowicza; nikt nie umiał tak szybko pracować, jak on.

Z wesołym uśmiechem na twarzy pracował istotnie z zapalem, często przerywając sobie piosenką, dialogiem z pierwszym lepszym naczyniem, lub pobożną uwagą nad znikomością świata tego.

Czasem ciskał na chwilę robotę i, wzniosłszy oczy i ręce do góry, deklamował wielce tragicznym tonem:

Ach, Eurydyko! przy twej piękności
Przeszedłem szczeble mej pomyślności,
I wyrok Delfów był niewątpliwy,
Żem ja na ziemi jeden szczęśliwy.

Czasem znów w setnych trelach i spadkach śpiewał:

O piano! piano! — Zitto! pia-ha-ha-no!

Lub podobne utwory własnego naprędce pomysłu:

A gdybyś fajkę, młodzieńcze, nałożył
I palcem przybił, a potem zapalił?

— Na Mahometa! — mówił do siebie — gdyby to Szwarz przyszedł, prędeż by ta robota poszła, ale on teraz ślubuje Helenie... Ehe! i ja bym tak ślubował, jak mi niewinność miła! Droga Heleno, dozwól... I cóż dalej?... Ba, im dalej, tym lepiej.

Nagle pociągnął ktoś za dzwonek.

Augustynowicz zwrócił się ku drzwiom i, wyciągnąwszy rękę, zaintonował:

Przechodniu znużon drogą,
Wejdz w me gościnne progi!

Drzwi się otworzyły, młody, wytwornie ubrany człowiek wszedł do pokoju.

Augustynowicz nie znał go.

Najważniejszym rysem charakterystycznym nowo przybyłego był aksamitny spencer i jasne spodnie, był przy tym umyty, ogolony i uczesany. Twarz miał nie to żeby głupowatą, ale i nie mądrą, nie piękną, ale i nie brzydka, nie dobrotliwą, ale i nie złośliwą, był przy tym wzrostu ani wysokiego, ani niskiego, nosa, ust, brody i czoła miernego, znaków szczególnych żadnych.

— Czy tu mieszka pan Szwarz?

— Pewnie że tu.

— Można go teraz zobaczyć?

— Teraz można; w nocy jak bardzo ciemno, to co innego.

Nowo przybyły zaczynał tracić cierpliwość, ale twarz Augustynowicza wyrażała raczej wesołość, niż złośliwość.

— Właściciel tego domu — rzekł — przysłał mnie do pana Szwarca, jako do świadomego mieszkania i losu hrabianki Leokadyi N. Czy nie raczysz pan dać mi jakich co do niej objaśnień?

— Oho, bardzo przystojna!

— Nie o to chodzi...

— Właśnie, że o to, kochany panie! A gdybym też odpowiedział brzydka jak noc! czy byłbyś pan ciekawy ją poznać? Nie!... nie, na proroka!

— Jestem Pełski, kuzyn jej...

— A ja wcale nie jestem jej kuzynem!

Przybyły zmarszczył czoło.

— Pan mnie nie rozumiesz lub żartujesz!...

— Wcale nie, chociaż pani Wizbergowa zawsze to samo utrzymuje. Ale pan nie znasz pani Wizbergowej? przednia kobieta! Tym się odznacza, że ma córkę, choć to nic wielkiego mieć córkę; przy tym bogata, jak Jowisz?

— Panie!

— Otóż słyszę kroki na schodach, idzie Szwarz — nie? założę się z panem, że to Szwarz. O co?

Istotnie, drzwi się otworzyły, wszedł Szwarz.

Surowa i inteligentna twarz jego, rzekłbyś, dojrzała w ostatnich czasach; we wzroku była spokojna energia człowieka zdecydowanego w wyborze postępowania na przyszłość.

— Oto pan Pełski, a to, do diabła, Szwarz, doktor medycyny — prezentował Augustynowicz.

Szwarc spojrział na przybyłego badawczo.

Tymczasem Pełski wyjaśnił mu cel swego przybycia, a choć na wiadomość o pokrewieństwie panicza z Lulą czoło Szwarca zmarszczyło się lekko, jednakże bez wahania wskazał jej adres.

— Żegnam pana — rzekł w końcu — hrabianka będzie mocno uradowana, znalazłszy w nim kuzyna, szkoda jednak, że przed paru miesiącami nie mogła nikogo z krewnych odszukać.

Pełski bąknął coś niezrozumiale. Widocznie, postać i sposób obejścia się Szwarca imponowały mu niemało.

— Dlaczegoś mu wskazał adres Luli? — pytał Augustynowicz Szwarca.

— Dlatego, że byłbym popełnił śmieszność, nie chcąc go dać.

— A ja go nie dałem!

— Cóżżeś mu powiedział?

— Tysiąc rzeczy, z wyjątkiem adresu, nie wiedziałem, czy będziesz kontent z tego.

— Byłby go i tak znalazł.

— Ehe, będzie wesoło u pani Wizbergowej. Będziesz tam dzisiaj?

— Nie!

— A jutro?

— Nie!

— A kiedy?

— Nigdy.

— Nie sztuka, stary, uciekać przed niebezpieczeństwem.

— Jam nie rycerz błędny, nie Don-Kichot, wolę unikać niebezpieczeństw i zwyciężyć, niż wywoływać je i upaść. Nakazuje mi tak nie średniowieczna fanfaronada, ale rozum.

Nastąpiła chwila milczenia.

— Byłeś wczoraj u Heleny? — pytał Augustynowicz.

— Byłem.

— Kiedy wasz ślub?

— Natychmiast jak uzyskam stopień.

— Może to i lepiej dla ciebie, że sprawa tak się skończy.

— Dlaczego to mówisz?

— Kiedy bo nie wiem, czy się nie rozgniewasz, ale ta Lula, ot, ja jej nie wierzę, do kroćset!

Szwarc oczy błysnęły dziwnym światłem; położył rękę na ramieniu Augustynowicza.

— Nie mów ty o niej nic złego! — rzekł z naciskiem.

Szwarc istotnie chciał, by hrabianka, oderwana odeń mocą wypadków, pozostała mu w duszy niepokalana. Lubował się jej wspomnieniem.

— Co jej mam powiedzieć — spytał po jakimś milczeniu Augustynowicz — gdy się zapyta o ciebie?

— Powiedz jej prawdę; mów, że się żenię z inną.

— Eh, stary, powiem jej co innego.

Szwarc spojrział mu w oczy.

— Dlaczego?

— Ot, tak!

— Mów jasno!

— Ona cię niby kocha!

Twarz Szwarca zapłonęła; wiedział o wzajemności Luli, ale wiadomość ta z obcych ust wstrząsnęła nim. Piersi napęłała mu słodycz i jakby rozpacz obok słodyczy.

— Kto ci to powiedział? — spytał.

— Malinka... ona mi wszystko mówi...

— Więc powiedz Luli: że się żenię z inną, z miłości i obowiązku.

— Amen! — zakończył Augustynowicz.

*

Wieczorem Augustynowicz poszedł do pani Wizbergowej; otworzyła mu drzwi Malinka.

— To pan? — rzekła z rumieńcem.

Augustynowicz porwał jej ręce i ucałował po wiele razy.

— Ach, panie Adamie, nie można, nie można! — nalegała spłoniona dziewczyna.

— Można, można! — odpowiedział tonem głębokiego przekonania.

— Ale, ale — rzekł, zdejmując paletot i zapinając rękawiczki; ubrany był nadzwyczaj wytwornie. — Był tu jaki młody człowiek dziś po południu?

— Był, przyjdzie wieczorem.

— Tym lepiej.

Weszli z Malinką do salonu. Salon wyglądał jakoś uroczyście, jakby na przyjęcie znakomitego gościa. Na stole paliła się dwuramienna lampa, fortepian był odkryty.

— Dlaczego pan Józef z panem nie przyszedł?

— Toż samo pytanie spotka mnie od hrabianki Luli... myślę, że jeszcze spotka; w każdym razie, pozwól pani odłożyć odpowiedź aż do jej zapytania.

Hrabianka nie dała długo na siebie czekać. Weszła ubrana czarno, miała tylko kilka pereł we włosach.

— A pan Józef? — spytała od razu.

— Nie przyjdzie.

— I dlaczego?

— Zajęty. Buduje własną przyszłość.

Hrabiance przykro się zrobiło na myśl, że Józef nie przyjdzie.

— A pan nie pomagasz mu w tej pracy? — spytała.

— Niech mnie patron mój strzeże od takiej pracy.

— Musi być bardzo trudna.

— Jak każda nowa budowa.

— Ciekawam?

— Obowiązek.

— Myślę, że pan Szwarc wszystko na tym gruncie buduje.

— Tym razem trudniej mu przyjdzie, niż kiedy indziej... Ale otóż i ktoś nadchodzi, to kuzynek pani. Jakież to rozkoszny chłopiec!

Pan Pełski wszedł do salonu, wkrótce za nim nadeszła i pani Wizbergowa.

Po zwykłych powitaniach rozmowa zaczęła krążyć w oceanie ogólników.

Augustynowicz mało mieszał się do niej. Siadł na fotelu i przymknął oczy z wyrazem obojętnym na wszystko. Miewał zwyczaj przymykać oczy, robiąc postrzeżenia, wtedy nic nie uszło jego uwagi.

Hrabia Pełski — zapomnieliśmy powiedzieć, iż miał ten tytuł — siedział przy Luli, kręcąc w palcach sznurek od okularów i rozmawiając z nią żywo.

— Aż do przybycia do Kijowa — mówił — nie wiedziałem nic o nieszczęściu, jakie spotkało całą naszą rodzinę, a w szczególności panią, przez śmierć szanownego jej ojca.

— Czy pan znał ojca mego? — pytała z westchnieniem Lula.

— Nie, kuzynko. Wiedziałem tylko o nieszczęśliwych sporach i procesach, różniących od lat kilkunastu nasze rodziny. Sporom tym jako małoletni, a potem nieobecny, zawsze byłem obcy i, jeżeli mam wyznać, przyjazd mój terazniejszy miał być tylko próbą zbliżenia.

— W jakim stopniu pan był krewnym ojca mego?

— Wychowany za granicą, mało w ogóle znam stosunki familijne, w istocie np. szczęśliwemu wypadkowi winienem odkrycie, nie już pokrewieństwa, o którym wiedziałem, ale innych nie mniej ścisłych węzłów, łączących od dawna nasze rodziny.

— Wolno się spytać o ten wypadek.

— Z chęcią, kuzynko. Objąwszy po śmierci ojca kierunek spraw majątkowych i familijnych, rozpatrywałem się trochę w papierach i rozmaitych dokumentach, tyjących mojej rodziny; otóż z tych dokumentów odkryłem, że rodzina pani nie tylko jest spokrewniona z Pełskimi, ale i jednego z nimi herbu.

— Do pewnego więc stopnia, trafowi zawdzięczamy naszą znajomość.

— Błogosławię ten traf, kuzynko.

Lula spuściła oczy; mała jej rączka kręciła koniec szarfy; po chwili podniosła głowę.

— I dla mnie on równie miły — odrzekła.

Po twarzy Augustynowicza przeleciał odcień uśmiechu.

— Dużo miałem trudności z odszukaniem mieszkania pani. Ten pan — Pełski wskazał jednym okiem Augustynowicza — ma dziwny sposób objaśniania pytających; szczęściem, nadszedł towarzysz jego, Szwarz, który wreszcie dał mi odpowiedź.

— Rzeczywiście mieszkałam w tym samym domu, co i oni.

— Jakimże sposobem poznałaś ich, kuzynko?

— Kiedy ojciec zachorował, pan Szwarz pilnował go w ostatnich chwilach, potem to on wynalazł panią Wizberg i... jam mu wiele winna.

Przymknięte powieki Augustynowicza uchyliły się nieco, wyraz szyderstwa znikł z jego twarzy.

— To doktor? — spytał hrabia.

— Będzie wkrótce doktorem.

Pełski zamyślił się cokolwiek.

— Znałem za granicą w Heidelbergu profesora i literata Szwarca; z jakich ten Szwarzów.

Hrabianka zarumieniła się mocno.

— O, tego to nie wiem doprawdy!

Oczy Augustynowicza otworzyły się na całą szerokość; z nieopisanym wyrazem złośliwości zwrócił się ku hrabiance.

— Sądziłem — rzekł głośno — że pani doskonale wiesz, skąd Szwarz jest i z jakich to Szwarzów?

Pomieszczenie Luli doszło do najwyższego stopnia.

— Nie... pamiętam — wyjąkała.

— Nie? Więc jej przypomnę: Szwarz rodził się w Zwinogrodce, gdzie ojciec jego był za dni swoich kowalem.

Pełski spojrzął na kuzynkę i, nachyliwszy się ku niej, rzekł ze współczuciem:

— Boleję, kuzynko, nad fatalizmem, który zmusił ją żyć z ludźmi odmiennej sfery.

Lula westchnęła. O, niedobre, niedobre to było westchnienie; Lula wiedziała, że u tych ludzi odmiennej sfery znalazła pomoc, opiekę i serce, że przeto powinni być dla niej czymś więcej, niż nowo poznany kuzynek, ale wstydziła się powiedzieć mu to i zamilkła trochę zła, a trochę rozżalona.

Tymczasem pani Wizbergowa poprosiła gości na herbatę. Lula pobiegła na chwilę do swego pokoju i, siadłszy na łóżeczku, zakryła twarz rękoma. Była w tej chwili myślą

w pokoju Szwarca. „On tam pracuje — myślała — a tu mówią o nim, jak o kimś obcym dla mnie; dlaczego ten powiedział, że on jest synem kowala?” Zdawało jej się, że krzywdzą Szwarca, ale i sama czuła doń jakby urazę za to, że był synem kowala.

Przy herbacie siadła obok swego kuzyna trochę zamyślona, trochę smutna, zwracając niespokojne spojrzenia w stronę Augustynowicza, który od chwili swej złośliwej interwencji przejmował ją pewną obawą.

— Jakoś nie swoja jesteś, Lulu? — pytała pani Wizbergowa, przykładając rękę do jej rozpalonego czoła.

Malinka, która stała z imbrykiem w dłoni, nalewając pod światło herbatę, zatrzymała złotawy strumień i, zwróciwszy głowę, rzekła z uśmiechem:

— Lula zamyślona tylko. Budzę cię, Lulu, w kolorze czarnym, czy kochasz?

Hrabianka zrozumiała myśl Malinki, nie zmieszała się jednak.

— Czarny kolor, to kolor smutku, w każdym razie to mój kolor.

— I piękny jak twoje słowo, kuzynko! — dodał Pełski.

Po herbacie siadła do fortepianu, a zza pulpitu widać było jej piękne czoło, oznaczone regularnymi brwiami. Grała jakiś smętny mazurek Szopena, a z twarzy jej nie schodziła tęsknota i niepokój.

Augustynowicz znał muzykę i z tonów odgadł stan duszy hrabianki, mimo to pomyślał:

— Tęskni, więc gra, a gra, bo kuzynek słucha.

Wracając do domu, rozmyślał jednak dłużej o Luli i o Szwarcu, niżby po jego lekko-myślniej naturze należało się spodziewać.

— E, do szatana! co to będzie? co to będzie? — pomrukiwał z cicha.

Wśród tych rozmyślań wszedł do mieszkania. Szwarc jeszcze nie spał, siedział pod party na lokciach nad jakąś książką.

— Byłeś u pani Wizbergowej?

— Byłem.

Niecierpliwość w połączeniu z ciekawością drgała na twarzy Szwarca, widocznie chciał rozpytywać się o wieczór, ale rozmyśliwszy się, podparł znów głowę rękoma i jął czytać.

Nagle jednak rzucił książkę i przeszedł się parę razy po izbie.

— Byłeś tedy u pani Wizbergowej.

— Byłem.

— Ha!...

— No, co?

— Nic.

Siadł znów do książki.

XV

Uplęło parę tygodni. Stosunki znanych nam osób nie ulegały zmianie; Szwarc nie bywał u pani Wizbergowej, za to Pełski stał się tam codziennym gościem, mimo Augustynowicza, który mu dokuczał i którego hrabia nie cierpiał.

— Jakże ci się wydaje kuzynek hrabianki? — pytał go kiedyś Szwarc.

— Przyjacielu, to jest zero.

— Cóż mu zarzucasz?

— Nic, co znaczy właśnie głupotę. Rozmawia z pannami o czym może, nosi modne surduty, glansowane rękawiczki, wiąże symetrycznie kokardę swego krawata, wychwala cnotę, gani występki, mówi że lepiej być mądrym niż nie, a jednak... o, Szwarc, to zero!

— Ryczałtowo ludzi sądzisz.

— Co znowu, ryczałtowo! Jak ci wiadomo, pierś wedle miary krawca, nie Fidyasza; a w dalszym ciągu śmiech mnie bierze, ale serce mi nie pęka, miałyby też o co pękać!

— Mów-no jaśniej.

— Cóż ci powiem? Ot, człek mierny, człek środka, tylko nie złotego, uczciwy, bo nie popełnił nic nieuczciwego i odwrotnie. A dajże mi z nim pokój! Mówmy lepiej o filozofii, albo śpiewajmy stare kontredanse, co wolisz?

— Mówmy o nim, proszę cię o to — rzekł z naciskiem Szwarc.

— No, to nałóż mi fajkę.

Szwarc nałożył mu fajkę, sam zapalił cygaro i jął przechadzać się po pokoju.

— Nie zdaję ci sprawy z tych tam wieczorów, bo nie chcę ciebie drażnić — mówił Augustynowicz — ale kiedy sam tego pragniesz, to słuchaj. Rzecz jest taka: Dowiedział się Pełski, że po starym hrabi została córka, a ciekawość go przywiodła do zobaczenia jej. Widzisz, ludzie są próżni, lubią efektu, a w roli bogatego kuzyna względem biednej kuzynki nie zbywa na nich, to też Pełskiemu podobała się ta rola. Ha, komuż by się ta rola nie podobała? Jesteś bogaty, a podajesz jej — to jest kuzynce — rękę, osłaniasz przemożną opieką, dziwisz ją delikatnością uczucia, postępków, stajesz się królewiczem, ideałem; ech, stary! jakże to łechce próżność, jakie to romansowe, niech mnie szatan!...

Rzy mój kary, ziemię grzebie!...

To cała powieść: Koń, postać szlachetna, z jej strony lzy i uśmiechy, potem los ich rozłącza, potem się spotykają... godzą... i... Numa idzie za Pompilusza!

Ostatnie słowa Augustynowicz wymówił z pewną złością.

— Mówisz o Luli i Pełskim? — pytał ponuro Szwarc.

— Tak jest; Pełski zobaczył ją przez ciekawość, a ona, jak wiesz, śliczna dziewczyna, to też rola podobała mu się. Pełski człek powszedni, arystokrata... jednym słowem, zero... ale... jeśli nie będzie zważał na posag...

— Ba, jeśli? — przerwał Szwarc, podchwytyjąc ostatnie słowo.

— A ty czego się ludzisz? Tobie to winno być wszystko jedno, tyś nie dziecię, ani niewiasta; wiedziałeś, co robił, idąc do Heleny w oświadczyni!

Szwarc zamilkł; Augustynowicz ciągnął dalej:

— Mówię: Pełski człowiek młody i bogaty, ona mu się bardzo podoba, to może i nie zważać na posag, ona mu się podoba, to grunt!

— Przypuśćmy, że nie będzie zważał na posag, dalej?

— W takim razie Lula zostanie Pełską.

— Zgodzi się, mówisz, na to?

Oczy Szwarca płonęły.

— Słuchaj, stary, ja mówię: nie wiem, do czego ta rozmowa. Dziśby się może nie zgodziła... ale za pół roku lub rok, to się zgodzi. Gdybyś tam bywał, mógłbyś z nim walczyć, inaczej, powtarzam, ona się zgodzi.

— Na czym opierasz ten sąd?

— Na czym? Pewnego wieczoru, kiedy tam widział Pełskiego, słyszę, a on się pyta: co to za Szwarc? z jakich to Szwarców? A ona: „Nie wiem, doprawdy”. Widzisz! a kiedy powiedział, żeś syn kowala, ona stanęła w płomieniach i o mało się nie rozplakała ze złości na mnie. Ot, masz!

Szwarc także czuł w tej chwili jakby ochotę do płaczu ze złości.

— Widzisz — prawil Augustynowicz — Pełski bez świadomości i woli postępuje bardzo trafnie; on jej ciągle przypomina dawne tytuły, świetną przeszłość, świetne stosunki, po prostu nie może nawet inaczej... A ona i bez tego arystokratka! Pamiętasz, jak to gniewało ongi mnie i ciebie? A ileś się to napracował, żeby te zasady w niej zachwiać! Na krokodyla, nie masz nic dumniejszego, niż nędza dumna! Pełski dobrze robi, bo łechce jej próżność, bo rozbudza miłość własną — to oddala ją od nas, a my, mój stary, tacy hrabiowie, jak... bez porównań, do szatana! bo i nie znajdę tu porównań.

Jakoż nie znalazł porównań, i w braku ich zaczął puszczać rześiste kółka z dymu, usilnie starając się uchwycić którekolwiek na palec. Szwarc tymczasem zawzięcie patrzył w jeden punkt na podłodze, wreszcie odezwał się:

— Powiedziałeś jej, że się żenię z Heleną?

— Nie.

— Dlaczego?

— Mówię, że pracujesz i dlatego nie przychodzisz. Niech sprawa między tobą i Pełskim rozegra się w niej samej, w jej sumieniu i sercu. Twoje małżeństwo to wypadek zewnętrzny, a stanowczo decydujący na jego stronę.

Szwarc zbliżył się, jego palce wpiły się w ramię Augustynowicza.

— Słuchaj — rzekł gwałtownie — a jeśli w tej walce ja wygram?

— Idź do diabła i nie ściskaj mnie tak silnie! Rzucam tobie toż samo pytanie: Jeśli w tej walce wygrasz?

Spojrzeni sobie oko w oko; jakieś nieprzyjazne uczucie ścisnęło im serca.

Wreszcie Szwarz puścił ramię Augustynowicza i, ukrywając twarz w dłoniach, rzucił się na łóżko. Augustynowicz spojrział nań groźnie, potem mniej groźnie i jeszcze mniej groźnie; na koniec przysunął się doń, zaglądając mu pod palce.

Pociągnął go za poję, a głos jego był już miękki i wzruszony.

— Stary!

Szwarc się nie odzywał.

— Mój stary, nie gniewaj się. Jeśli wygrasz, schowasz ją w sercu jak świętą, a ja jej powiem: Idź, jasny aniele, drogą obowiązku, jak Szwarz poszedł.

XVI

Helena zaledwie sama wierzyła swemu szczęściu. Gotowała się do ślubu. Chmurna jej przeszłość znikła, noc życia była skończona, świtał ranek.

Z kobiety, gwiazdy błędnej, która nie wie gdzie i jak nisko upadnie, z kobiety tułaczki, z kobiety bez jutra, wejść w nowy okres życia, pozyskać miłość kochanego człowieka, zostać w przyszłości żoną, rozpocząć życie ciche, życie jutra, okolone szacunkiem, zapelniono miłością i obowiązkiem — oto miała być jej przyszłość.

Helena rozumiała, a raczej przeczuwała ową anormalność między swą przyszłością a przeszłością. „Z takiego życia, jak moje, to chyba nie to wyniknąć powinno; jam niewarta szczęścia — szeptała z cicha do Szwarca, gdy jej na palec wkładał zaręczynowy pierścienek. — Jam niewarta takiego szczęścia.”

Miała rację ta opętana przez miłość półwaryatka.

Z logiki jej życia nie mogła taka przyszłość wykwitnąć, ale życie jej przestało już iść własnym biegiem.

Bywają gwiazdy, które w samotniach krążą po nieokreślonych drogach, aż porwane przez potężniejszą planetę, idą już dalej koło niej lub z nią.

Coś podobnego przytrafiło się Helenie.

Potężniejsza wola przyciągnęła słabszą. Helena spotkała na drodze swej Szwarca i odtąd szła już jego koleją.

Zrozumienie tego czyniło ją spokojniejszą. „O, jeśli on zechce, będę szczęśliwą!” — myślała nieraz.

Wierzyła bez granic nie tylko w charakter, ale i w potęgę Szwarca.

Znikł więc ostatni cień w jej duszy — znikła niespokojność, owa nieokreślona obawa przyszłości, której aż do chwili oświadczyn Szwarca nic mogła się opędzić, a która dręczyła ją jak wyrzut sumienia.

Marzyła. Z pieśnią na ustach czyniła przygotowania do ślubu, ciesząc się jak dziecko każdym szczegółem ubioru. Chciała mieć mimo swego wdowieństwa białą suknię, co i Szwarzowi podobało się. Odzyskując humor, odzyskiwała i zdrowie; stawała się czynną, zabiegłą, drobiazgowo nawet troskliwą o przyszłe gospodarstwo.

Wypiękniała jeszcze i wyszlachetniała jakoś pod wpływem szczęścia. Z kobiety o-ludka, z ptaka o poobrywanych skrzydłach, jęła się zmieniać w kobietę, czującą własną wartość, choćby w tym, że ją ktoś kocha.

Termin ślubu przybliżał się.

*

Tymczasem zbliżała się chwila, w której Szwarz miał zostać doktorem. Pracował więc, a pracował tak usilnie, że zachwiał cokolwiek własne zdrowie. Bezsenne noce i wysilenia umysłu naznaczyły mu twarz bladością; wychudł, oczy miał podsiniałe; żył w ciągłej owej gorączce pracy, w rzeczywistości opadał z sił, ale trzymał się jak mógł na nogach, chcąc za jaką bądź cenę zdobyć koniecznie stanowisko i niezależną przyszłość.

Prócz ambicji i bliskiego terminu ślubu, jeszcze jedna rzecz skłaniała go do tych wysiłków. Zapasy, jakie przywiózł z domu, wyczerpywały się z wolna i obecnie bliskie były końca. Teraz już na Augustynowiczu spoczywał ciężar wydatków i domowego gospodarstwa. Augustynowicz wyrzekł się pijatyki, a zarabiał znacznie więcej, niż Szwarz. Lekcje

muzyki przynosiły mu stosunkowo bardzo wiele, a nie potrzebował się ich wyrzekać dla nawalu innej pracy, wrodzone bowiem zdolności zastępowały mu aż nadto czas i ochotę.

Do pani Wizbergowej chodził, jak dawniej, codziennie; codziennie Malinka wybiegała mu otwierać i co dzień niby wydierała mu swe rączki, które miał zwyczaj obfitymi okrywać całusami. Pocziwa dziewczyna przywiązała się do niego. Czy on ją kochał? Prędeż nie, niż tak, bo przeszłość wygasła w nim sympatyczne moce. W rzeczywistości nie miał za grosz ognia. Gdyby jego zdolności zagrzewała namiętność, zaprowadziłyby go daleko, ale światło ich było jak księżycowe, świeciło nie grzejąc.

Nie przeszkadzało mu to być, jak to mówią, wyborynym chłopcem, doskonałym kolegą i wesołym towarzyszem. Jeżeli czuł jakie przywiązanie, to chyba do Szwarca. Miewał jednak swe sympatie i antypatie: lubił Malinkę, a nie lubił Luli.

I za co jej nie lubił? Różne były powody. Traktowała go zawsze z chłodną wyższością, a przy tym była hrabianką. Zwykle zresztą miewał powodzenie u kobiet, zawdzięczał je niewyczerpanej wesołości, a nawet cynizmowi, który pozwalał mu być wszędzie, jak u siebie, miał przy tym szczególniejszą zdolność stosowania się do towarzystwa, w którym przebywał. Nigdy nieogładzany, posiadał — gdy chciał — wysoką ogładę towarzyską. Sam zwykł był mawiać, że owa łatwość dystynkcji jest w nim dziedziczną, że to idzie „z zacnej krwi”. Rodziców wprawdzie nie znał nigdy, ani wiedział, kto oni, niemniej sądził się być potomkiem znakomitego rodu. Przypuszczał nawet, wedle znanego żartu, że Letycya, babka Napoleona III-go i jego babka — to były dwie babki. W ten sposób udowadniał swe pokrewieństwo z Bonapartem.

Mimo tych wszystkich przymiotów, Lula ignorowała go cokolwiek. Więcej niż owa lekkomyślna, elastyczna natura budził w niej interesu żelazny, jednolity charakter Szwarca. Zresztą kochała Szwarca, Augustynowicz więc z natury rzeczy pozostał na boku. Drażniło go to jednak. Tak się rzeczy miały aż do chwili zjawienia się Pelskiego. Odtąd, zwłaszcza gdy Szwarz przestał bywać, zmieniała się Lula nadzwyczajnie. Augustynowicz dokuczał jej, sądził bowiem rzeczy przez pryzmat własnej dla niej niechęci. Myślał, że jeśli kiedy, to teraz będzie mu okazywała lekceważenie, a nawet pogardę, tymczasem stało się inaczej. Lula wyszła z roli obojętności i zaczęła się go obawiać. „Dzięki bogom — myślał wówczas Augustynowicz — człowiek ma język dosyć obrotny. Boi się, żebym Pelskiego nie wystrychnął na dudka.” Jakoż coś podobnego zdarzyło się kilkakrotnie, co, należy wyznać, nader przykro dotknęło Lulę. Nieraz z początku rozpytywała o Szwarca, ale zawsze jednakową odbierając odpowiedź: „pracuje” — przestała na koniec. Niemniej zdawało się, że chce przejednać Augustynowicza, w postępowaniu jej z nim była teraz jakaś miękkość, połączona z cichym smutkiem. Nieraz śledziła go niespokojnie oczyma, gdy wchodził, jakby czekając od niego jakiejś wiadomości dla siebie. Niepokój ten był naturalnym. Czy kochała Szwarca, czy nie, nie mogło jej nie dziwić, że ten, na którego tyle liczyła, który tyle sympatii okazywał jej zawsze, teraz jakby zapomniał o niej. Nie mogła także poprzestać na odpowiedzi Augustynowicza. Mimo największej pracy, niepodobna było, by Szwarz nie znalazł w ciągu dwóch przeszło miesięcy ani minuty czasu, by ją choć zobaczyć, by spytać o jej zdrowie, tym bardziej, że wiedziała, iż ją kochał. W myśli jej dziwnie płątało się przybycie Pelskiego i niebywanie Szwarca; mogła słusznie przypuszczać, że jest w tym pewny związek. Jeden Augustynowicz mógł te rzeczy objaśnić, ale Augustynowicz nie chciał.

Niespokojna tedy, rozdrażniona i stroskana, ciągniona przez Pelskiego w krainy świetnych marzeń o wspaniałej przyszłości, o bogactwie, komforcie, sługach i cugach; z drugiej biegła myślą do ubożego pokoiku Szwarca, pytając pełna trwogi: czemu go nie ma?

A jego nie było. Pelski coraz wyraźniej występował jako konkurent. Lula, posądzająca Szwarca o obojętność, rozdrażniona i upokorzona przezeń, gotowa była bodaj przez zemstę oddać rękę Pelskiemu. Zresztą, tradycja ciągnęła ją w jego stronę; kto miał zwyciężyć — łatwo było przewidzieć.

Pelski, o ile mógł, starał się rozpraszać chmurki na czole Luli, i częstokroć udawało mu się to nawet. Lula miewała od czasu do czasu dziwne napady wesołości. Śmiała się wówczas i sypała tysiącami mniej więcej dowcipnych słówek, a lubo w tej wesołości była pewna gorączka, było zaiste i niemało kokieterii. Oczy jej płonęły w takich razach, od skroni szła atmosfera gorąca, usta igrały wabnym uśmiechem. Słowa kaleczyły i głaska-

ły, ciągnęły i odpychały na przemian. Pelski zwykle, a po kilku niefortunnych próbach z Augustynowiczem, Pelski jedynie padał ofiarą takich wybryków. Tracił wówczas głowę, a z roli kuzyna-opiekuna przechodził na kuzyna-niewolnika.

A im był pokorniejszy, tym ona była zuchwalszą; im był smutniejszy, tym bywała weselszą.

— Panno Malinko! — szeptał w takich razach Augustynowicz — nie bądź pani nigdy do niej podobną, to kokietka!

— Nie! — odpowiadała smutno Malinka. — Przypomnę panu te słowa.

I trudno zaiste rzec, coby powiedział Augustynowicz, gdyby po takim wieczorze działo, jak ta przed chwilą kokietka, zostawszy sama w swoim pokoju, łkała tak, że długie godziny utulić jej nie mogły.

Biedna dziewczyna, nie mogła nawet przed nikim wypowiadać się ze swoich zmar-twień i ciężkiej walki, jaką toczyła sama z sobą.

Plakała w chwilach słabości. Ile w tych łzach było zranionej miłości własnej, ile szcze-rego żalu po Szwarcu, trudno było powiedzieć. Dawniej, objawszy rękoma szyję dobrej Malinki, byłaby wyznała wszystko, co jej przygniatało duszę, ale dziś i Malinka była dla niej obcą, a przynajmniej nie tyle bliską, co ongi. Właśnie owe niefortunne próby ko-kieterii z Augustynowiczem głęboko obrażały rozkochaną w nim dziewczynę, a przy tym i stosunek Luli do Pelskiego wydawał się jej dziwnym.

Tymczasem czas płynął, Lula zaczynała wątpić, czy Szwarc kochał ją kiedykolwiek, Pelski nieznacznie karmił ją myślą przyszłego komfortu; czas płynął — a czas, to wedle słów poety: „róż kwitnących przemierzły ogrodnik”.

XVII

Malinka nieraz próbowała dowiedzieć się od Augustynowicza o istotnych powodach nie-obecności Szwarca.

— Po co jej wiązać ręce? — mówiła o Luli.

Augustynowicz zaręczał, że jej rąk nie chce wiązać, w rezultacie jednak milczał lub kłamał.

Z drugiej strony Szwarc był przekonany, że Lula już wie o wszystkim.

— Powiedziałem jej wszystko! — mówił Augustynowicz.

— A ona? nie ukrywaj mi!

— Szwarc?

— Co?

— Co ci do tego?

Szwarc zacisnął zęby, ale nie pytał więcej. Wstydił się. Sam przed sobą wyznawał, że owe pytania były folgą dawaną słabości i dawnemu uczuciu.

Z przerażeniem prawie spostrzegał, że czas nie przynosił mu ulgi. Och, miewał takie chwile, że chciałby rzucić i Helenę, i obowiązki, i sumienie, a pójść i sprzedać nawet honor, nawet resztki szacunku dla siebie, za jedną chwilę, w której by mógł głowę oprzeć na ramieniu hrabianki.

Nie umiał się oprzeć rozpamiętywaniu o niej.

Dotychczas zwyciężał, a jednak pamiętał, że był dawniej innym, niż dziś.

Dawniej charakter jego miał ową spokojną, pokrywającą wszystko głębokość, dziś kipiał. Od namiętnych wybuchów przechodził nieraz do melancholii i biernego senty-mentalizmu, a pamiętał, jak ongi wydrwiwał go w innych, jak szydził bez miłosierdzia, jak nawet pogardzał sentymentalizmem.

Wpadał weń jednak. Tracił szacunek dla siebie, ale był chwilami sentymentalny.

Augustynowicz wiedział o tym najlepiej.

Pewnego razu — a było to w miesiąc jakoś po zerwaniu z Lulą — Augustynowicz, zbudziwszy się późną nocą, ujrzał Szwarca, ubranego jeszcze i siedzącego niby nad książką. Zegar w ciszy nocnej gorliwie opowiadał o uciekających minutach; lampa paliła się jasnym, wesołym światłem, a przy blasku jej wyraźnie rysowały się rudawe bokobrody i blada twarz Szwarca na czarnym pokrowcu fotela. Siedział z pochyloną w tył głową i z przymkniętymi oczyma, ale nie spał; wzniesione brwi i kolory, bijące mu na twarz,

świadczyły o tym najlepiej. Twarz jego nosiła wyraz niewysłowionej błogości; jakieś marzenie, jak złoty motyl, siedziało mu na mózgu, roztopiając w mglistą miękkość ostre linie jego rysów.

Augustynowicz spojrział na niego uważnie, po czym z cicha podniósł się na łóżku z obliczem pełnym oburzenia i gniewu.

— Co ten robi? — szepnął. — A, ty się już sam oszukujesz! Niech mnie powiesz, jeżeli mu nie cisnę na głowę poduszki. A to mazgaj! Tak jest, cisnę poduszkę, lampę stłukę... hi!

Jakoż, ukończywszy za chwilę przygotowania wojenne, zabierał się do zadania tym straszliwszego ciosu, gdy nagle cofnął się pod koldrę.

Szwarc otworzył oczy.

— Ciekawym, co to będzie? — mruknął Augustynowicz, udając, że śpi jak zabity.

Tymczasem zdziwienie jego rosło nie na żarty. Szwarc spojrział nań podejrzliwie, po czym jak złoczyńca obejrzał się wokoło, wreszcie odsunawszy szufladę stolika, począł w niej szukać jakiegoś przedmiotu.

— Hej, czy tylko nie zechce w łeb sobie strzelić lub się otruć? — pomyślał cokolwiek przestraszony Augustynowicz.

Ale Szwarc nie myślał ani się zabijać, ani truć. Przedmiot, który wydobył, była to po prostu rękawiczka. Jedna mała, wyżółkła i pokurczona rękawiczka, mizerna pamiątka, historyczny podarek, przy którym się mówi: „Adio, adio! caro mio! Pamiętaj!” A jednak Szwarc, jak ongi Emrod, poszedłby po nią „między tygrysa i między dwa lamparty” — tylko kwestia, czyby potem odszedł i więcej nie wrócił. Na punktach głupoty, schodzą się częściej wieki, niż w rozsądku.

Szwarc podniósł tę rękawiczkę do ust.

— Wsty-y-dź się, stary! — ryknął Augustynowicz.

Istotnie było coś w tym upokarzającego i Szwarc bardzo się potem wstydził swego postępku. Nazajutrz wyszedł do dnia, by uniknąć Augustynowicza, który zresztą na serio był oburzony i rozgniewany. Zdawało mu się, że się zawiódł na Szwarcu: „I ten mazgaj, jak i drudzy!” — mówił. Myśl ta zrodziła w nim niesmak, jaki zwykle czujemy, zaczynając tracić szacunek do człowieka, którego szanowaliśmy dotąd.

Ważniejszym atoli było, że po owym wypadku Augustynowicz nabrał przekonania, że Szwarc wróci do Luli. „Ta sobie umrze lub oszaleje — mówił o Potkańskiej — a oni się pobiorą... E, niech sobie umrze — Augustynowicz zawsze starał się wmówić w siebie, że nie lubi kobiet — mniej będzie o jedną. Wróci Szwarc, wróci!”

Rozmyślał tedy, czy powiedzieć Luli, że Szwarc się żeni, czy nie? w końcu postanowił milczeć.

— A mnie Helena nic nie obchodzi... Szwarc wróci do Luli, a jeśli jej powiem wszystko, to będzie za późno — to będzie za póź-no! o, ho, ho! Ale i Helena na tym zarobi, bo znów będzie za późno. Tak, tak: jednego nie naprawię, a drugie zepsuję. Będę milczał... będę milczał...

Augustynowicz sto razy wołał Helenę, niż Lulę, i z duszy chciałby, żeby Szwarc ożenił się z Heleną, ale chodziło mu więcej o Szwarca, niż o obie razem, dlatego Lulę chciał mieć wolną „na wszelki wypadek”. Zresztą sądził, że i tak Lula wybierze Pełskiego. Wtedy powiem staremu:

— Widzisz, nic nie mówiłem o Helenie, nic nie wiedziała, że jej nie kochasz, a swoją drogą posłała za Pełskiego.

Na koniec troskliwie chował wieść o małżeństwie Szwarca na wypadek, gdyby Lula, śmiejąca się i szczęśliwa, przed jego przypuszczalnym powrotem, oddała rękę Pełskiemu:

— Szwarc życzy pani szczęścia — rzeknę. — Crescite et multiplicamini! — rzeknę. — On dawno już narzeczony, kocha i jest kochany, do diabła!

XVIII

Płynęły jednak dni, a Szwarc nie wracał do Luli. Malinka za to powiedziała Augustynowiczowi:

— Pełski lada dzień oświadczy się o Lulę.

— A jeśli nie on o nią, to ona mu się oświadczy lada dzień... — wymówił z przyciskiem Augustynowicz.

— O, to niesprawiedliwie, niesprawiedliwie!

— Zobaczymy.

— Nie, panie Adamie, Lula ma dużo dumy kobiecej, i gdyby nawet poszła za Pełskiego, to tylko przez ową dumę, przez gniew na obojętność Szwarca. Zresztą, co prawda, jej nikt prócz niego nie kocha... z wszystkich panów on jeden jej pozostał, na kogóż może liczyć.

— Ha, a widocznie lubi liczyć?

Malinka rozgniewała się.

— Liczyła w swoim czasie na Szwarca... zawiodła się. Jakże można ją potępiać, kiedy jego nie ma? czy pan rozumie? nie ma!

Augustynowicz milczał.

— Bolesnie się zawiodła — mówiła dalej Malinka — i niech mi pan wierzy, ja jedna wiem, ile ją to kosztuje. Mimo, że już nie przyjaźnimy się tyle, co dawniej — sama mnie odsunęła — mimo tego, jednak nieraz widzę jak cierpi. Wczoraj weszłam do jej pokoju i zastałam ją we łzach. „Lulu! — pytam, mimo że odsunęła się ode mnie — co tobie jest?” „Nic, cierpię ból głowy” — powiada. „Lulu moja — mówię — ty na serce cierpisz, nie na głowę!” Chciałam się jej rzucić na szyję, ale odsunęła mnie ręką, a potem wstała taka dumna, żem się jej przeleżała. Łzy jej oschły. „Płakałam ze wstydu — rzekła z mocą. — Chciej mnie zrozumieć: ze wstydu!” Chciałam ją zrozumieć, alem nie mogła; tylko wiem, że wieczorem tego dnia znów ją widziałam we łzach. A widzi pan?

— Czegóż to wszystko dowodzi?

— Że jej niełatwo zrzec się myśli o Szwarcu. Co tam zaszło? co tam zaszło, że jego nie ma?

— A gdyby był?

— Nie poszłaby za Pełskiego!

— Żartuję sobie z tego „nie poszłaby”.

— Bo pan ze wszystkiego żartujesz... Ale Szwarz? Czy to szlachetnie z jego strony tak ją opuścić?

— Kto go tam wie, co on myśli robić!

Malinka odpowiedziała z mocą:

— On sam powinien wiedzieć i cokolwiek zamierza, nie ukrywać tego przed nią.

— On nie ma czasu, pracuje.

Tegoż dnia Malinka przekonała się jednak, że Szwarz nie siedzi tak pilnie w domu, jak o tym rozповідаł Augustynowicz. Wyszędłszy z matką na ulicę, spotkała go idącego z jakimś młodym człowiekiem. Nie spostrzegł ich, Malinka prawie przeraziła się jego widokiem. Wydawał się jej tak blady, tak przygnębiony, jakby po ciężkiej chorobie. „Więc on był chory!” — myślała, wróciwszy do domu. Teraz zrozumiała, dlaczego Augustynowicz nie chciał wytłumaczyć jego nieobecności: „Swarz mu nie kazał, by nie przerażać Luli”.

Swarz nagle wyrósł w mniemaniu Malinki do wysokości ideału.

Wieczorem, jak zwykle, zjawił się Augustynowicz. W salonie tym razem była pani Wizbergowa i hrabianka.

— Panie Adamie! — zawołała Malinka — wiem już, dlaczego pan Józef nie był u nas tak dawno.

Oczy Luli błysnęły; w tej chwili zapanowała nad sobą, ręce jej jednak drżały nieznacznie.

— Ależ on biedak musiał być bardzo chory? taki blady, jak z grobu! Dlaczego pan nie powiedziałaś nam o tym? — mówiła szybko pani Wizbergowa.

— O, pan Adam bał się, żebyśmy nie wygadały się przed Lulą. Ładnie to? — pytała Malinka.

— Co tobie, Lulu, tyś chora?

— Nic, nic! wrócę za chwilę.

Twarz jej była bledziuchna, w głosie brakło tchu. Wyszła, prawie uciekła do swego pokoiku.

Pani Wizbergowa chciała biec za nią, Malinka łagodnie lecz stanowczo zatrzymała ją.

— Nie trzeba tam chodzić, mameczko.

Potem zwróciła się do Augustynowicza, a głos jej dźwięczał poważnie smutno.

— Panie Adamie?

Augustynowicz zaciął wargi.

— Panie Adamie! cóż? Lula to kokietka, bez serca... nieprawdaż?

— Możem się omylił — bąkał Augustynowicz... ale... ale...

Nie śmiał wykrztusić z siebie w tej chwili, że Szwarc się żeni z Heleną, że Szwarc nie przyjdzie więcej.

Wróciwszy do domu, bał się także powiedzieć Szwarcowi o tym, co zaszło.

Lula zamknęła się w swoim pokoju. Głowa jej płonęła, a myśli niby wianek z iskier i lodu obsiadły jej skronie; w ciszy słychać było wyraźnie jej przyspieszony oddech i bicie serca. Szwarc, Pełski, Malinka, Augustynowicz, kręcili się przed nią w niepojętym zamęcie, a z tych rozkruchów myśli, jak z grobu, podnosiła się wyżej i wyżej, błada, z przymkniętymi oczyma, prawie martwa głową Szwarca. „On chory, chory!” — powtarzała półgłosem. „I umrze, i nie przyjdzie już tutaj!” Biedna Lula jeszcze inaczej niż Malinka tłumaczyła sobie powody nieobecności Szwarca. Sądziła, że poświęcił się dla niej, że, nie chcąc stawać między nią a Pełskim, zrzekł się jej, i dlatego tak cierpi i choruje. A jednak kto mu powiedział, że z Pełskim będzie szczęśliwszą?” — szeptała z cicha. „Nie ufał mi... Boże mój! Boże! a czy mógł ufać?” Pamięć stawiała przed nią, jak wyrzut, owe chwile błyszczących spojrzeń, wabnych i aksamitnych słówek dla Pełskiego; wspomniła i ów rumieniec wstydu, jakim splonęła, gdy Pełski dowiedział się, że Szwarc jest synem kowala. I teraz twarz płonąca ukryła w dłonie, ale był już inny wstyd. Zdawało jej się w tej chwili, że choćby sam Szwarc był kowalem, jeszcze by z rozkoszą całowała jego okopcone czoło, jeszcze by pełna szczęścia złożyła główkę na jego dzielnej, choćby kowalskim fartuchem pokrytej, piersi.

— Jak mi w oczach ciemno!... Jam nie wiedziała, że go tak kocham — mówiła cała drżąca i rozploniona.

Pierś jej wznosiła się szybko. Znów jakaś rzewniejsza myśl ubrała jej czoło w blaski anielskie, rzuciła się na kolana przed obrazem Bogarodzicy.

— Matko Boża! — zawołała głośno. — Jeżeli kto ma cierpieć, lub umrzeć, niech ja cierpię, a jego chroń i kochaj Mateczko moja Najświętsza!

Wstała spokojna i tak jasna światłem miłości, że, rzekłbyś, w ciemnym pokoiku świeciła jak srebrna lampka przed obrazem Bogarodzicy.

Przez parę następnych dni Augustynowicz nie pokazywał się wcale; przyszedł za to Pełski i, wedle przewidywań Malinki, oświadczył się o rękę Luli. Ujrawszy twarz kuzynki spokojną i pełną uśmiechu, z dobrą nadzieją wynurzył jej swe życzenia i nadzieje, tym też boleśniej się zdziwił, gdy Lula dała mu stanowczo odmowną odpowiedź.

— Kocham innego! — oto była treść tej odpowiedzi.

Pełski chciał się dowiedzieć, kto był „ten inny”; Lula powiedziała mu bez wahania, po czym — jak zwykle się czyni w takich razach — ofiarowała mu swą przyjaźń.

Ale Pełski nie przyjął ofiarowanej mu na pożegnanie ręki.

— Za wieleś mi zabrała, za mało dajesz, kuzynko — szepnął zgnębionym głosem. — Za szczęście całego życia... przyjaźń!

Jednak Lula nie czuła wyrzutów po jego wyjściu; myślała wówczas o czym innym. Bywa to złą stroną miłości, że nigdy nie myśli o czym innym, tylko o sobie. Wyłącza szczegóły, a za to włącza ogół. Czujesz, że gdyby świat był człowiekiem, przycisnąłbyś go do piersi i ucałował w głowę, jak ojciec.

Coś podobnego czuła Lula, gdy szła do pokoju Malinki po wizycie Pełskiego. Potrzebowała wyznać komuś wszystko, co jej leżało na sercu.

Malinka siedziała przy oknie, a na pociemniałych mrokiem szybach widać było jej łagodną, zamysłoną twarzyczkę. Nagle ręce Luli oplotły się koło jej szyi.

— To ty, Lulu? — spytała cicho.

— Ja, Malinko! — szepnęła Lula.

Siadła na małym stołeczku, u nóg Malinki, głowę położyła na jej kolanach.

— Moja dobra Malinko, ty się już nie gniewasz na mnie, ani pogardzasz mną?

Malinka pieściła ją, jak dziecko.

— Bo widzisz, byłam bardzo grzeszna, ale dziś odszukałam się we własnym sercu. Jak mi tu dobrze przy tobie! Pamiętasz, jak to dawniej długo, długo tak rozmawialiśmy nieraz! Niech i dziś tak będzie!... dobrze?

Malinka uśmiechnęła się na wpół smutno, na wpół figlarnie i odparła:

— Dziś tak będzie, ale później się zmieni. Przyjdzie tu pewien jegomość i zabierze Lulę, a ja zostanę sama.

— A czy przyjdzie? — spytała cichutko Lula.

— Przyjdzie. Biedak on chorował... pewno z tęsknoty. Nie rozumiałam, co znaczyło, że pan Adam nie chciał powiedzieć, dlaczego go nie ma — teraz rozumiem: Szwarc mu zabronił — nie chciał ciebie przestraszać.

— Ja myślę, że nie chciał przeszkadzać Pełskiemu... Taki niedobry!

— A cóż Pełski?

— Właśnie miałam ci powiedzieć: oświadczył mi się dzisiaj.

— I cóż?

— Odmówiłam, Malinko.

Chwilę trwało milczenie.

— Nie chciał nawet przyjąć ręki, którą mu podałam na pożegnanie, ale czyż mogłam inaczej uczynić, Malinko? Wiem, że postępowałam z nim bardzo niedobrze, o, bardzo niedobrze! ale czy mogłam zrobić inaczej? Ja go nie kocham.

— Lepiej późno, niż nigdy. Słuchałaś głosu serca. Ty tylko ze Szwarcem możesz być szczęśliwa.

— O tak, tak!

— Za jaki miesiąc — prawiała Malinka — ubierzemy Lulę w białą sukienkę, opłaczemy Lulę panienkę, a będziemy się cieszyli z Lulą mężatką. O, wy będziecie szczęśliwi! Musi on być dobry, kiedy go tak wszyscy szanują.

— Wszyscy go tak szanują? — powtórzyła Lula, której jednocześnie chciało się śmiać i płakać.

— A tak. Moja mama to się nawet go boi... i ja troszeczkę; ale go poważam za jego charakter.

Lula podłożyła obie ręce pod głowę i ciągle wsparta na kolanach Malinki, patrzyła jasnymi od łez oczyma w jej twarz.

A tymczasem ściemniło się do reszty, księżyc zeszedł, psy się uśpiły, — słychać było tylko szepty dwóch rozmarzonych pogadanką panienek.

Nagle przerwał ją dzwonek w przedpokoju.

— Może to on! — zawołała Lula.

Ale to nie był „on”, bo w przedpokoju dał się słyszeć głos Augustynowicza.

— Panie są w domu?

— Idź, Lulu, do tamtego pokoju i schowaj się — mówiła szybko Malinka, — ja mu opowiem, jak dałaś odkosza Pełskiemu, i poproszę, żeby to powtórzył Szwarzowi. Zobaczemy, czy nie przyjdzie! Możesz słuchać.

Drzwi się otworzyły, wszedł Augustynowicz.

XIX

Mówiliśmy, że Augustynowicz bał się wyznać Szwarzowi, co zaszło u pani Wizbergowej. Lula zawiodła jego oczekiwania: mimo arystokracji, mimo Pełskiego, kochała jednak młodego doktora, skoro wieść o jego chorobie mogła nią do tego stopnia wstrząsnąć.

Augustynowicz stracił humor i zwykłą sobie swobodę myśli. Mimo woli czuł teraz dla Luli szacunek, a szacunek dla kobiety, e! to było czymś dlań tak obcym, taką dysharmonią w jego moralnym organizmie, że sam z sobą nie mógł trafić do ładu. Miał minę człowieka złapanego na kłamstwie, a kłamstwem tu były jego pojęcia o kobietach. Sposępniał wielce. Raz nawet — rzecz dziwna, a obca dlań lub zapomniana — wyrwały mu się z ust słowa pełne bolesnej goryczy: „Ot, gdyby taka jedna w życiu — mówił — a człowiek nie byłby tym, czym jest.” Szwarca unikał, bał się go, wahał się, to chciał mu wyznać wszystko, to znów odkładał do jutra. Sam wreszcie Szwarc zwrócił uwagę na dziwaczność jego postępowania.

— Co tobie jest, Adamie? — spytał.

— A o Lulę to on się już nie może spytać! — zawołał z komiczną rozpaczą Augustynowicz.

Szwarc zerwał się na równe nogi.

— O Lulę? Co to znaczy? Mów!

— Nic nie znaczy, co by miało znaczyć? Czy to wszystko ma zaraz coś znaczyć?

— Augustynowicz, ty coś ukrywasz?

— A on to tylko o Luli myśli! — wołał z coraz większą rozpaczą zapytany.

Szwarc z niesłychanym wysileniem zapanował nad sobą, ale był to ów groźny spokój przed burzą. Zapadłe policzki zbladły mu jeszcze więcej, oczy pałały.

— O, powiem wszystko — wołał, uprzedzając wybuch, Augustynowicz — powiem, powiem! E, kto mi zabroni ci powiedzieć, żeś wygrał sprawę! Niech mnie szatan, jeżeliś nie wygrał! Ona cię kocha.

Szwarc przeciągnął drżącą ręką po spotniałej twarzy.

— Pełski? — spytał krótko.

— Jeszcze się nie oświadczył.

— Ona wie o mnie wszystko?

— Szwarc!

— Mów!

— Ona nic nie wie, ja jej nic nie mówiłem!

Głos Szwarca był głuchy i ochrypły, gdy spytał:

— Dlaczegoś mi taką krzywdę wyrządził?

— Szwarc! ja myślałem, że ty się wrócisz do niej.

Szwarc załamał ręce, aż palce trzeszczały w stawach; ostatnie słowa Augustynowicza padły nań jak żarzewie. Wrócić się do niej, to opuścić Helenę; a czyż to samo sumienie nie broniło sprawy Heleny? Wrócić się do Luli, to kupić szczęście całego życia; ale wrócić się do niej, to zbeczczyć Helenę, to zabić ją, stać się nikczemnym, to kupić wzgardę u siebie dla siebie. Niestety, w duszy Szwarca odbywał się ten diabelski taniec człowieka samego z sobą. Tańczył Szwarc ze Szwarzem przy kapeli namiętności. Różne myśli, zamiary, sposoby wichrzyły mu w piersiach, bój toczył się na całej linii.

Augustynowicz patrzył na towarzysza z twarzą rozpaczliwie głupowatą i miałby, jak to mówią, ochotę porwać się za kołnierz i wyprowadzić za drzwi.

Nagle Szwarc wstał.

Jakieś postanowienie rysowało się na twarzy. Sprawa była rozegrana.

— Augustynowicz!

— Ehe?

— Pójdiesz natychmiast do Wizbergowej i powiesz Luli, że się żenię, że za miesiąc mój ślub i że nigdy do niej nie wrócę. Nigdy, rozumiesz?

Augustynowicz zabrał się i poszedł.

Przyjęła go, jak wiemy, Malinka. Lula miała słuchać ich rozmowy za drzwiami.

Malinka, rozmarzona poprzednią pogadanką z Lulą, wesoła i uśmiechnięta, szczerze ścisnęła rękę Augustynowicza.

Augustynowicz jednak nie odpowiedział jej szczerze.

— Dobrze, żeś pan przyszedł — mówiła — mam panu dużo, dużo powiedzieć.

— A i ja mam dużo powiedzieć — odparł Augustynowicz. — Przychodzę jako poseł.

— Od Szwarca?

— Od Szwarca.

— Zdrowszy?

— Chory. Pełski tu był?

— Był. Właśnie o nim chciałam mówić.

— Słucham, panno Malinko.

— Oświadczył się o Lulę.

— I cóż?

— Odmówiła. Panie Adamie, ona tylko Szwarca kocha, ona do niego tylko chce należeć. Moja droga, pocziwa Lula!

Chwilę trwało milczenie.

Augustynowicza głos drżał, gdy z wolna wymawiał następne słowa:

— Ona do niego nie będzie należała.

— Panie Adamie!

— Szwarc już po słowie, żeni się.

Wiadomość ta, niby piorun, uderzyła w obie panienki. Przez chwilę było głuche milczenie.

Nagle otworzyły się drzwi od przyległego pokoju, Lula weszła do salonu.

Na twarzy jej grał rumieniec obrażonej godności niewieściej, w oczach świeciła duma.

Zdawało jej się, że podeptano wszystko, co miała świętego w piersiach.

— Malinko! — zawołała — nie pytaj więcej, zaklinam cię, dość, dość! Ten pan już spełnił poselstwo, dlaczegoż się poniżać odpowiedzią?

I wzięwszy Malinkę za rękę, prawie przemocą wyprowadziła ją z pokoju.

Augustynowicz popatrzał chwilę za nimi, wreszcie kiwnął parę razy głową i rzekł:

— Na Proroka! rozumiem ją. Ona ma rację, ale i Szwarc także. Hej, trzeba łątać, póki się wszystko nie pozrywa.

Za chwilę biegł do Pełskiego. Opowiedział mu rzecz całą.

— Jakiś fatalizm — kończył Augustynowicz — ciążył na nich. Szwarc nie mógł inaczey postąpić. Prawda, hrabio?

— Postąpił, jak mu się podobało, ale co pana skłoniło do zawiadamiania mnie o tym?

— Bagatelka! Jeszcze jedno pytanie: czy Lula, odrzucając pańską rękę, nie postąpiła szlachetnie?

— Odpowiedź sobie zostawiam.

— Zostaw ją, kochany panie! Mnie wszystko jedno, mnie Lula nie obchodzi; wiem tylko, że, gdy Szwarc się usunie, przyszłość jej nie będzie do zazdrości; a pan jesteś jej kuzynem... Szkoda...

Pełski zamyślił się.

— Szkoda? ha, co za szkoda?

— Że pańskie oświadczenia nie przypadły nieco później.

Pełski szerokimi krokami chodził po pokoju.

— Teraz, nigdy! — szepnął do siebie.

Augustynowicz usłyszał ów monolog.

— Za późno, za późno! kochany panie... Ale, ale, jeszcze maleńka prośba: Nie mów nikomu, żem tu był; szczególnie nie mów u pani Wizbergowej lub Szwarcowi, jeżeli ich będziesz widział kiedy.

— Co mu na tym zależy?

— Wszystko, alebyś tego nie zrozumiał, drogi hrabio. Do widzenia!

Pełski, zostawszy sam, długo rozmyślał, coby istotnie Augustynowiczowi mogło na tym zależeć? Nie wymyślił nic, ale doszedł do przekonania, że jemu samemu mogło coś na tym zależeć.

— Mógłbym wrócić do niej, udając, że nie wiem o niczym — mówił. — Biedna Lula!

XX

Dwie panienki siedziały milczące w pokoiku Luli. Bolesne to było milczenie. Jeśli bywały ciężkie chwile w życiu, wszystkie rzuciły swój ciężar na obecną dolę Luli. Podeptano wszystko, co miała świętego w piersiach. Ona w tę miłość włożyła najlepsze cząstki swej istoty moralnej, ona zwycięstwo jej obchodziła, jak uroczystość weselną; przez siłę tego uczucia podniosła się z chwilowego upadku, zwyciężyła przesady rodowe, odrzuciła rękę kochającego człowieka, z nią razem przyszłość spokojną, życie w dostatku, własną niezależność, a za to wszystko zapłacono jej wieścią, że ten, którego kochała, żeni się!

O, więcej jeszcze straciła! Cała anielskość, w którą ubrały ją dni poprzednie, załamywała się dziś w gruzy zwątpienia. Dusza jej mogła wyschnąć do dna! Czyż razem z miłością nie traciła i wiary i nadziei — nie w teologicznym sensie — ale w całej ich żywotnej wartości w życiu? Ziemia usuwała się jej spod nóg. Niby łódź bez wiosła, miała płynąć w przyszłość bez brzegu. Sierota, dziś przygarnięta przez zacne serca, jutro mogła ocucić się po prostu głodna, bez kawałka chleba; dziś jeszcze taka biała, że na jej piersiach mogłyby kwitnąć lilie, mogła w przyszłości poplamieć ową białość żółcią własnej goryczy; dziś

pół-dziecię prawie, wiosna, majowy ranek — miała za tyle a tyle lat oglądać bezowocną jesień życia.

Upokorzona, połamana „niby od burzy krzew”, zepchnięta z posad moralnych, zabita na szczęście, z suchym płonącym okiem, konwulsyjnie cisnęła do siebie płaczącą Malinkę. Lula nie płakała; chociaż by miała jeszcze łzy do płaczu, osuszyłby je gniew.

Malinka zresztą płakała za dwie.

*

Nazajutrz hrabianka odebrała dwa listy: jeden od Pelskiego, drugi od Szwarca.

„Pani! — pisał Pelski. — Boleść, jakiej doznałem wskutek twej odpowiedzi, nie dozwoliła mi rachować się z własnymi słowami. Odrzuciłem przyjaźń, którąś mi ofiarowała; żałuję tego postępku. Jakkolwiek nie umiem sobie zdać sprawy z twego postępowania ze mną, widzę jednak, że w końcu poszłaś za głosem serca. Oby ten głos nie omylił ciebie, pani! Oby twój wybrany kochał cię tyle, co ja, byłbym spokojny o twe szczęście. Nie zarzucam mu nic, nie śmiem sądzić człowieka, którego kochasz. Co do mnie, zmuszony twardą koniecznością rozstać się z nadzieją posiadania ciebie, błagam jak o największą łaskę, nie pamiętaj na słowa moje, wyrzeczone w chwili bólu, dozwól mi wrócić i upomnieć się o ową niebaczną odrzuconą przyjaźń, która w przyszłości ma mi szczęście całego życia zastąpić.”

List od Szwarca przyniósł wieczorem Augustynowicz. Lula nie chciała go otworzyć.

— Nie czyni mu pani tej krzywdy — mówił błagalnie Augustynowicz — bo i tak w tej chwili mój stary może już...

Łzy dusiły go, dalsze słowa więzły mu w gardle.

— Może to już ostatnie jego słowa. Wczoraj odwiozłem go do szpitala — wyszeptał.

Lula pobladała jak płótno; zdawało się, że za chwilę zemdleje. Na próżno siliła się utrzymać spokój i chłód twarzy — cała jej postać drżała jak liść.

Bądź co bądź, kochała Szwarca.

Wzięła list z ręki Augustynowicza. List brzmiał jak następuje:

„Pani! Umiałem przenieść stratę twej ręki, ale nie twego szacunku. Czytaj i sądz! Umierający przyjaciel zostawił na mojej opiece kobietę, którą kochał całą siłą rozdartego serca, a której miłość mimo woli mu wydarłem. Po jego śmierci poznałem ją bliżej, i zdało mi się, że ją kocham. Niestety, powiedziałem jej to. Potem... Ty wiesz ukochana, co nastąpiło potem. Sam przed sobą ukrywałem nieszczęsne przywiązanie do ciebie. Ilem wycierpiał! O, daruj mi! I jam człowiek, i ja musiałem kochać, a jednak nie z moich ust dowiedziałaś się o tej miłości. Gdy wreszcie stanął przed własnym sumieniem, gdy przyszła chwila upamiętania — sądz sama, jak miałem postąpić? gdzie pójść? co wybrać? Przysięga umierającemu, słowo dane nieszczęsnej nad wszelki wyraz kobiecie, wszystko prócz serca nakazywało mi wyrzec się ciebie. Nie z mojej winy dowiedziałaś się o tym dopiero wczoraj. Wieść ta miała dolecieć ciebie razem ze zjawieniem się Pelskiego. Niestety i lekkomyślność ludzka inaczej chciały. Oto stan rzeczy! Sądz — jeśli umiesz, przebac. Adam mówi, że chory... Tak jest, myśli mi się płacząc, czuję żar krwi, a z bólu i zamętu jedno widzę jasno... że kocham, kocham cię, aniele!”

Po przeczytaniu listu resztki gniewu i dumy znikły z czoła Luli: na jej pięknej twarzy osiadł łagodny, choć głęboki smutek.

— Panie Adamie — rzekła do Augustynowicza — powiedz mu pan, że postąpił, jak był powinien.

Augustynowicz rzucił się przed nią na kolana.

— I mnie przebac, pani! Byłem niesprawiedliwy; krzywdziłem cię, ale ja nie znałem... jam nie wiedział, że są tacy aniołowie na świecie!...

XXI

Prosto od Wizbergowej Augustynowicz udał się do szpitala, gdzie został przez całą noc. Szwarc miał się źle i bardzo źle. Tyfus rzucił się na ten silny organizm, grożąc zniszczeniem go zupełnym. Około północy chory zaczął majaczyć; rozmawiał z sobą i sprzeczał się zacięcie o nieśmiertelność duszy z czarnym kotem, którego widział siedzącego

na krawędzi łóżka. Zdawało się, że obawiał się śmierci, bo kilkakrotnie na jego twarzy malowało się nieopisane przerażenie. Lękał się i drgał bardzo wyraźnie za każdym poruszeniem Augustynowicza, chwilami śpiewał drżącym głosem i jakby przez sen różne wesołe i smutne piosenki, lub rozmawiał ze znajomymi. Był nawet pewien przerażający humor w naturalności tonu tych rozmów. Augustynowicza, rozstrojonego i tak wypadkami dni poprzednich, drażniło to niewypowiedzianie. Z utęsknieniem wyczekiwał ranka, często spoglądając na szyby, które, jak na złość, ciągle były zarówno czarne. Na dworze była głęboka ciemność, a drobny deszczyk, zacinając w szyby, nappełniał pokój szpitalny monotonnym i przykrym dźwiękiem.

Dawno tak smutne i niespokojne myśli nie błąkały się w głowie Augustynowicza, jak w tej chwili. Wsparłszy łokieć na kolanach i ukrywszy twarz w dłonie, rozmyślał nad dziwną a gorzką płataniną zdarzeń dni ostatnich. Czasem podnosił głowę i rzucał czujny wzrok na chorego; chwilami zdawało mu się, iż na wyschłe ostre rysy Szwarca pada mrok śmierci. Augustynowicz rozmyślał, jak ten człowiek, niedawno jeszcze tak czynnie i szeroko żyjący, za parę dni będzie może czymś martwym tylko, co zakopią w ziemię i... *finita la comedia!* Och, myśl codzienna i zwyczajna, a co dzień równie gorzka tych, którzy muszą tak myśleć: „Koniec!... proch!...” A jednak żył pełnym życiem, wtedy sądził, wybierał, działał może i szerzej od innych. Jak pług odrzuca rolę, tak on na gruncie życia z pokładów zła i dobra dobywał dobro i...? Mimo woli człek pyta o sens moralny tej bajki. Gdzie, kiedy, na jakich gwiazdach, na jakich planetach znajdzie się zagrobowa odpowiedź dla żyjących? Nieśmiertelność!... W oceanie czynów ludzkich może i żyją jakieś moralne atomy czynów zmarłego, ale owo: Ja — potężne, energiczne, świadome siebie — gdzie ono? A i owe czynów atomy, to niby trup majtka, spuszczone z okrętu w otchłań morską. Gdzie szukać i kto je odszuka? Czy Bóg wyłowi je kiedyś z tych fal bezbrzeżnych i odtworzy z nich nową świadomą siebie istotę? „... *è ben trovato!*”

Gorycz tych myśli osiadła teraz na sennym czole Augustynowicza, a tymczasem szyby z czarnych zaczęły się robić szare... Dniało. W pokoiku blask świecy różował stopniowo i omdlewał, przedmioty zaczęły się wychylać z cienia, na korytarzach słychać już było kroki służby szpitalnej. W godzinę potem wszedł doktor.

— Cóż chory? — spytał.

— Żle — odrzekł krótko Augustynowicz.

Doktor wysunął z powagą dolną wargę, namarszczył się i wziął za puls chorego.

— Co pan myślisz? — spytał Augustynowicz.

— A cóż? nic nie myślę — źle, bardzo źle!

Po twarzy Augustynowicza przeleciał odcień ironii.

— Za to ja coś myślę profesorze, a myślę, że medycyna to bardzo głupie dziecko, co sądzi, że jak się weźmie rękami za pięty, to się podniesie do góry, nieprawda?

Doktor kiwnął parę razy głową, zapisał jakieś chłodzące lekarstwo i poszedł. Augustynowicz, spojrzawszy na receptę, znów z kolei pokiwał głową, wzruszył ramionami i siadł przy łóżku.

Tymczasem pod wieczór choremu pogorszyło się jeszcze, koło północy był prawie umierający. Augustynowicz płakał, jak dziecko i rozbijał się o ściany celki. Znów przesiedział całą noc.

Nad ranem zdawało mu się, że spostrzeża lekkie polepszenie, a było to polepszenie zwodnicze. Na chorym powystępowały blade i czerwone plamy, widocznie wypalił się w gorączce i gasł.

Wieczorem przyszła pani Wizbergowa. Augustynowicz nie puścił jej do celki. Z twarzy jego poznała, iż musiało zajść coś strasznego.

— Żyje? — zawołała.

— Umiera! — odrzekł krótko.

W kilka godzin potem kapelan szpitalny kładł na Szwarca ostatnie oleje. Augustynowicz nie miał siły być przytomnym obrzędowi; wybiegł na miasto.

Potrzebował zebrać myśli, potrzebował odetchnąć; czuł, że i jemu myśli zaczynają się mącić, prawdopodobny zgon Szwarca rozrywał mu ich równowagę. Spodziewał się wszystkiego, ale nie żeby Szwarz umarł.

Sam nie wiedział, dokąd biegnie. Kilka razy zatrzymywał się, jakby z obawy, że wróci za późno.

Nagle jakaś myśl błysnęła mu w głowie. Spozstrzegł, że stoi przed domem Heleny.

— Wejść. Niech go pożegna.

W półgodziny potem Helena klęczała przy łóżku Szwarca. Rozwinięte jej włosy leżały w szerokich splotach na pościeli; rękoma obejmowała stopy chorego, twarzą spoczęła na nich.

W salce szpitalnej cisza panowała jak w grobie, słychać było tylko szybki, urywany oddech chorego.

Tak upłynęła długa, przekłeta noc, której każda minuta zdawała się być dla Szwarca ostatnią. Wreszcie trzynastego dnia od początku choroby nadeszło przesilenie.

Choremu było stanowczo lepiej.

Koło jego łóżka siedzieli nieodstępnie Augustynowicz i Helena; ta ostatnia zdawała się zapominać o świecie przy tym łożu. Razem z życiem Szwarca wracało i jej życie. Cieszyła się do szaleństwa każdym, choćby najmniejszym objawem polepszenia.

Wreszcie Szwarz oprzytomniał.

Augustynowicza wtedy nie było; pierwszą osobą, którą ujrzął, była Helena.

Chory popatrzał na nią chwilę; na jego czole znać było pewną pracę myśli.

Wreszcie przypomniał ją sobie.

Uśmiechnął się.

Widoczne było wysilenie w tym uśmiechu, mimo to Helena ze łzami radości rzuciła się na kolana.

Augustynowicz jednak, wróciwszy, spostrzegł, iż obecność jej niepokoi chorego, a nawet męczy. Szwarz ani na chwilę nie odrywał od niej wzroku, wodząc oczyma za każdym jej ruchem.

Właściwa tylko starym lub chorym ludziom, bezmyślna gestykulacja poruszała mu wargi.

Augustynowicz pilnie śledził bieg źrenic Szwarca. Przeczynał coś niedobrego.

Tymczasem, jak zwykle, pod wieczór zwiększyła się gorączka, ale mimo to chory usnął. Augustynowicz namawiał Helenę, by poszła do siebie odpocząć.

— Ani na chwilę go nie odstępaj — odrzekła z niezwykłą sobie stanowczością.

Augustynowicz siadł w milczeniu na krześle, i zadumał się głęboko; wkrótce głowa zaczęła mu ciężać, powieki stawały się łożwiane, nieubłagana senność chwytająca go coraz bardziej, opuścił głowę na piersi, kiwnął się w prawo, w lewo i usnął.

Za chwilę ocknął się.

— Śpi? — spytał, spojrzawszy na chorego.

— Śpi, ale niespokojnie — szepnęła cicho Helena.

Augustynowicz znów pochylił głowę.

Nagle rozbudził go krzyk Heleny.

Chory siedział na łóżku w paroksyzmie gwałtownej maligny; twarz mu płonęła, oczy błyszcząły jak u wilka, wyschlą rękę wyciągał ku Helenie.

— Co to jest? — krzyknął Augustynowicz.

Helena konwulsyjnie chwyciła go za ręce; czuł, jak drżała na całym ciele.

— Nie dręcz mnie! — szeptał chrapliwym, urywanym głosem chory. — Zabiłaś Gustawa i mnie chcesz zabić teraz... Precz, ja ciebie nie kocham! precz!...

Znów upadł na łóżko.

— Lulu, Lulu moja! ratuj mnie! — szepnął.

Augustynowicz prawie przemocą wyprowadził Helenę z celki. Na korytarzu słychać było przez chwilę szybką ich rozmowę i powtarzane imię hrabianki. Wreszcie Augustynowicz wrócił sam.

Był blady, grube krople potu spływały po jego czole.

— Wszystko skończone! — szepnął.

*

Helena biegła, gnana rozpaczą. Słowa Szwarca i krótka rozmowa z Augustynowiczem rozdarły krwawą błyskawicą wiele ciemnych dla niej okoliczności. Biegła bez celu, byle naprzód. Myśli paliły ją jak ogień, a raczej nie były to już myśli, lecz gnane wichrem w szalony skręt kolisko iskier. Miasto w godzinę wieczorną świeciło tysiącem światła, patrzyło na nią jasnymi szybami spokojnych ognisk domowych — ona biegła naprzód. Na ulicy płynął, jak zwykle, tłum ludzi, kilku przechodzących obejrzało się za nią; jakiś młody człowiek przemówił coś do niej z uśmiechem, ale spojrzawszy jej w oczy, cofnął się przestraszony: ona biegła naprzód. Wreszcie ulice zmieniły się w uliczki, stawały się puste, ciemniejsze, w szybach nie było już widać światła — tam spracowana ludność spała po znoju dziennym, z rzadka gdzie błysnęła latarka lub odezwały się echem kroki. Noc była wilgotna, ale spokojna; jakiś gniotący ciężar wisiał w powietrzu. Od Dniepru tylko dolatywał surowy powiew; wodna mgła osiadała kroplami na odzieniu i włosach Heleny. Ona biegła przed siebie. Nerwowe kurcze wykrzywiały jej twarz. Mimo chłodu, zdawało jej się, że z nieba pada ogień na jej głowę, piersi i ręce. Ogniki te zdawały się tańczyć i kręcić koło niej, a w każdym widziała na przemian twarze Szwarca i Gustawa. Zgubiła wierzchnie okrycie, wiatr zerwał jej kapelusz, wilgoć rozwiązała włosy. Kilkakrotnie upadała. Wkrótce wśród nocy i pustki znalazła się sama. Gonił ją tylko daleki gwar miasta i szczekanie psów w dzielnicy, przez którą biegła. Uciekała wciąż naprzód. Nie czuła ani zmęczenia, ani bólu, myśli jej zbiegły wszystkie do jednego środka, którym było jej nieszczęście. Komu miłość zabierze część życia, płaci jego częścią zawody; dla Heleny miłość była wszystkim. Znowu istnienie jej przestawało mieć sens. Czara była rozbita. Nie było dla niej przebaczenia, choć „wiele kochała”, mógł być tylko spokój — nie w życiu, ale poza życiem.

Tymczasem biegła naprzód, ale siły opuszczały ją. Usta jej były spieczone, oczy mętne, odzież obryzgana błotem, pokryta wilgocią. Upadała coraz częściej, czasem podnosiła do góry głowę, chwytając łakomie ustami powietrze. Grunt, po którym biegła, stawał się coraz wilgotniejszy. Z dala słychać było łkanie i ową dziwną rozmowę wody, pół kapryśną, pół smętną. Helena zatrzymała się chwilę nad brzegiem.

Nagle zamknęła oczy i, wyciągnąwszy przed siebie ręce, rzuciła się naprzód.

Równocześnie z pluskiem wody rozległ się jej krzyk, krótki, przytłumiony falą, ostatni.

Potem nastąpiła cisza. Na niebie była noc głęboka.

XXII

„Dziwnie się wszystko plecie, na tym tu biednym świecie” — powiedział stary poeta. To pewna, że nieraz życie tak się poplącze, że chyba je, jak ongi węzeł gordyjski, rozciąć potrzeba. Tak było i ze Szwarzem. Przed kilku laty przybył pełen zaufania we własnych siłach; zdawało mu się, że nie tylko swoje, ale i cudze losy popchnie na obraną z góry drogę, tymczasem przekonał się, że w krótkim czasie stracił ster nawet i własnej łodzi. Zostawiono mu było rzucać się i ratować wedle woli, ale płynąć musiał tam, dokąd wiatr wiał. A przy tym i szczęścia mało miał w życiu. Jak wszystkim, tak i jemu, życie, lub raczej nadmiar owego wrzątka lat młodych, wylać się musiał w jednym tylko, a zaiste, nader ciasnym, kierunku miłości do kobiety. Ciasno było w tych brzegach, więc potok płynął zbyt gwałtownie; to też w całej przeszłości Szwarca zaledwie kilka było chwil spokojnych. O mało nie zapłacił życiem za przeszłość, a, dalibóg, nie było za co płacić. I po ostatnim wypadku z Heleną niebezpieczeństwo mogło się wznowić. Augustynowicz obawiał się recydywy; szczęściem, obawy jego nie sprawdziły się, Szwarz miał się coraz lepiej. Trudno było przewidzieć, jak długo przyjdzie mu jeszcze poleżeć w łóżku, osłabienie po ciężkiej chorobie było ogromne, ale powrót do zdrowia zapewniony. Augustynowicz, jak mógł i umiał, skracał mu długie godziny szpitalne; ale na próżno wysiłał się na dawny swój humor. Ostatnie wypadki uczyniły go poważnym i małowównym. Stracił wiele z dawniejszych nawyknień. Od czasu choroby Szwarca nie był na przykład ani razu u Wierzbergowej, która dość często przychodziła dowiadywać się o zdrowie Szwarca. Ale jeżeli w ten sposób podziały na Augustynowicza wypadki dni ostatnich, o ileż więcej zmienił się Szwarz. Z długiej choroby powstał zupełnie innym człowiekiem. Nie był to już ów żywy, sprężysty i nieugięty temperament. W ruchach jego była dziś powolność, we wzro-

ku ociężałość i jakby lenistwo. Augustynowicz przypisywał to, i słusznie, koniecznemu po takim przejściu osłabieniu, ale wkrótce spostrzegł w chorym inne, dawniej nieznanemu, objawy. Jakaś dziwna obojętność, prawie apatia, przebijała się w jego słowach. Zaczynał rozglądać się w świecie na nowo, ale patrzył zupełnie inaczej. Zdawał się nie być zdolnym do żadnych żywych uczuć. Przykro było patrzeć nań; zmiany dotknęły nie tylko moralnej jego strony, zmienił się i fizycznie: wyłysiał, twarz mu schudła i wybielała, oczy patrzyły sennie, straciły dawny połysk. Leżąc po całych dniach bez ruchu, wpatrywał się godzinami w jeden punkt na suficie lub spał. Obecność czyjakolwiek nie zdawała się go obchodzić.

Niepokoilo to wszystko Augustynowicza, zwłaszcza gdy zauważył, że mimo szybkiego powrotu sił fizycznych, objawy te jeżeli ustępowały, to bardzo z wolna. Augustynowicz wzdychał, wspominał dawnego Szwarca, i pracował nad rozbudzeniem terazniejszego, ale robota była trudna.

Pewnego razu Augustynowicz, siedząc przy łóżku chorego, czytał mu głośno. Szwarz, leżąc na wznak, wedle zwyczaju patrzył w sufit, widocznie myślał o czym innym, albo nie myślał o niczym; jednakże po jakimś czasie znużenie wybiło się na jego twarzy. Augustynowicz przerwał czytanie.

— Chcesz spać, stary?

— Nie, ale nudzi mnie ta książka.

Augustynowicz czytał *Damę kameliową*.

— A jednak jest tu życie i prawda, mój stary.

— Tak, tylko za grosz nie ma rozsądku.

— No, ale książka podnosi kwestię kobiet takich...

— A co kogo takie kobiety obchodzą?

— Niegdyś cię obchodziły.

Szwarc nie odrzekł nic; na twarzy jego znać było lekkie zamyślenie.

Po jakimś czasie odezwał się:

— Co się dzieje z Heleną? Ona tu była?

Augustynowicz zmieszał się.

— Była, stary... była.

— No, a teraz?

— To jest... tak... niby chora... mocno chora.

Twarz Szwarca pozostała obojętną.

— Cóż jej jest? — spytał leniwie.

— Jej?... ona... Ot, powiem ci prawdę, tylko się nie przestrasz.

— No?

— Helena nie żyje?... utopiła się.

Po twarzy Szwarca przemknęło nieokreślone jakieś wrażenie; zrobił usiłowanie jakby się chciał podnieść na łóżku, po chwili jednak opuścił głowę na poduszki.

— Wypadkiem? naumyślnie?... — spytał.

— Odpocznij, stary, odpocznij; nie wolno ci jeszcze dużo rozmawiać. Później opowiem ci wszystko.

Szwarc obrócił się do ściany i pogrążył w milczeniu. W tej chwili wszedł posługacz szpitalny.

— Pani Wizbergowa pragnie z panem mówić — rzekł do Augustynowicza.

Augustynowicz wyszedł; na korytarzu oczekiwała pani Wizbergowa.

— Co się stało? — spytał z przestachem — czy znów kto zachorował?

— Nie, nie!

— Cóż więc?

— A to Lula odjechała — mówiła żalnym głosem pani Wizbergowa.

— Dawno?

— Wczoraj wieczorem. Byłabym tu zaraz przyszła, bo to już z tydzień nie dowiadywałam się o Szwarca, ale Malinka tak była zmartwiona i zapłakana, że nie mogłam jej opuszczać. Odjechała Lula, odjechała!

— Skądże jej?

— Dużo byłoby opowiadać. Może we dwa tygodnie, od czasu jak Szwarz zachorował, przyszedł znów do nas Pełski, a wkrótce po raz drugi oświadczył się Luli. Miała z tego

powodu niemało zmartwienia, bo widocznie człowieczysko przywiązał się do niej serdecznie. Tak. Mimo to odmówiła, dając za przyczynę, że nie wyjdzie za mąż bez przywiązania. Ja dosyć lubiłam tego Pełskiego. Ale to nie do rzeczy! Odmówiła zwyczajnie, poczciwa, szlachetna dziewczyna. Co też ona się nacierpiała w czasie choroby Szwarca! Ale to znów nie do rzeczy. Z Pełskim rozstali się jednak bez gniewu, i on to, niezawodnie on, wynalazł jej to miejsce aż w Odessie. Wystaw pan sobie zdziwienie, gdy przed kilku dniami przyszła do mnie i oświadczyła, że tylko choroba Szwarca wstrzymywała jej wyjazd, ale teraz, gdy Szwarz zdrowszy, ona nie chce być mi dłużej ciężarem, chce pracować na kawałek chleba i wyjeżdża. A, mój Boże, czy ona mi była ciężarem? Malinka ukształciła się i nabrała poloru przy niej; zresztą, kochałam ją, kochałam jak własną córkę.

Poczciwa stara dama była srodze strapiona. Augustynowicz zamyślił się, wreszcie po długiej chwili milczenia rzekł:

— Nie, dobra pani! Ja Lulę rozumiem. Kiedy przyjechała u was mieszkanie, była to jeszcze zepsuta i kapryśna dziewczyna, która sądziła, że przyjmujecie ją dla jej hrabiowskiej korony i własnego zaszczytu, dziś ona zupełnie co innego...

— Alboż ja jej co zarzucam! — przerwała pani Wizbergowa.

— Nie o to chodzi. Pojmuję, jak paniom przykro musiało być rozłączyć się z nią, i szkoda, że mi pani nie dała wcześniej znać o jej zamiarze. Osoba, z którą Szwarz miał się żenić, nie żyje.

— Nie żyje?

— Tak jest. Ale z drugiej strony, prócz smutku dla pań, nic więcej złego ten wyjazd nie przyniesie. Szwarz nie złożył egzaminów doktorskich, przede wszystkim musi o nich pomyśleć, bo to jego kawałek chleba. Kiedy wyzdrowieje i zapewni sobie utrzymanie, trafi za nią i do Odessy, ale na to potrzeba czasu. Szwarz bardzo się zmienił; nic nie szkodzi, że Lula zrobiła wszystko, co może ją jeszcze bardziej wynieść w jego opinii.

Pani Wizbergowa odeszła ze ściśniętym sercem. Augustynowicz stał chwilę w miejscu, wreszcie otrząsnął się z zamyślenia i szepnął:

— Odrzuciła drugi raz rękę Pełskiego... chce pracować na siebie!... Och, Szwarz, Szwarz! choćby przez większe od twoich cierpienia dojść...

Nie dokończył zaczętej myśli, machnął ręką i wszedł do celki.

— Czego chciała Wizbergowa? — spytał apatycznym głosem Szwarz.

— Lula wyjechała do Odessy — odrzekł szorstko Augustynowicz.

Szwarc zamknął oczy i pozostał przez długą chwilę nieruchomy. Wreszcie odezwał się:

— Szkoda! To dobra była dziewczyna ta Lula.

Augustynowicz ścisnął zęby i nie odpowiedział nic.

*

Przyszła wreszcie chwila, w której Szwarz wyszedł ze szpitala, a w miesiąc później ukończył egzamina doktorskie. Było to w jasny jesienny dzień, dwaj przyjaciele wracali z dyplomami w kieszeniach do domu. Twarz Szwarca nosiła na sobie jeszcze ślady choroby, ale zresztą był zdrow zupełnie, Augustynowicz prowadził go pod rękę; przez drogę rozmawiali o przeszłości.

— Siądźmy tu oto na tej ławce — mówił Augustynowicz, gdy weszli do ogrodu. — Śliczny dzień. Lubię wygrzać się na słońcu w dzień taki.

Siedli. Augustynowicz wyciągnął się wygodnie, odetchnął i rzekł wesoło:

— Cóż, stary! Od trzech miesięcy powinniśmy mieć w kieszeni te marne świstki, które mamy dopiero dzisiaj.

— Tak. Otóż i jesień — odparł Szwarz, odrzucając laską kilka żółkłych liści, leżących wedle ławki.

— Ba, liść pada z drzewa, a ptactwo ciągnie na południe — mówił Augustynowicz.

— Potem, zniżywszy głos i ukazując szybujące ponad drzewami stado pliszek, dodał:

— A czy za tymi gońcami słońca i ty nie pociągniesz na południe?

— Ja? dokąd?

— Nad Czarne morze, ku Odesie.

Szwarc pochylił się i pozostał przez długi czas milczący; gdy podniósł głowę, na twarzy malowała mu się prawie rozpacz.

— Już jej nie kocham, Adamie! — wyszeptał.

*

Wieczorem tegoż dnia Augustynowicz rzekł do Szwarca:

— Nadto, nadto sił kładziemy w gonitwie za miłością kobiety, potem miłość gdzieś jak ptak odleci, a siły idą *na marne*.

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z *Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur*.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na *Licencji Wolnej Sztuki 1.3*. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w *Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur*. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/na-marne>

Tekst opracowany na podstawie: Henryk Sienkiewicz, *Na marne*, nakładem Stefana Dembego, Warszawa 1901.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>) na podstawie tekstu dostępnego w serwisie Wikiźródła (<http://pl.wikisource.org>). Redakcję techniczną wykonała Paulina Choromańska, natomiast korektę utworu ze źródłem wikiskrybowie w ramach projektu Wikiźródła.

ISBN 978-83-288-0892-8

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).